

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 2); półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80 miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.
Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: **Maryan Gawalewicz.**

Wydawca: **Piotr Laskauer.**

Ekspedycja Główna przy ulicy Nowy-Świat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgetera i Spół. kwart. 5 marek.

Maryan Gawalewicz. ←

J A D.

POWIEŚĆ.



(Ciąg dalszy).

Eliziewicz wytrzeszczył oczy i przez chwilę patrzył na niego z zajęciem, zapomniawszy o własnych dolegliwościach.

— Od niej? — spytał, — to i cóż?... przeczytaj pan wpierw, a potem dopiero spazmuj, jeżeli jest czego. A nuż robi [propozycję, abys ją pan wykradł od męża. To się zdarza, ojoj!...

Julek nie słuchał go; rozerwał kopertę i przebiegł list oczyma.

— Coś dużo pisze! — zauważył tabetyk z uśmiechem, — nie lubię długich listów od kobiet, ale one wszystkie są grafomanki. No, nie przeszkadzam ci, czytaj sobie, tylko mi nie wrzeszcz nad uszami!

Wziął ze stolika flakonik z kolońską wodą i zaczął sobie nacierać czoło i skronie.

Dobrojewski czytał i gryzł usta; na pozór miał twarz spokojną, tylko mu od czasu do czasu brwi i nozdrza zadrgały nerwowo i policzki zabarwiały się rumieńcem.

Przy niektórych ustępach zamykał oczy i oddychał głęboko, jakby mu tchu w pierśsiach zabrakło.

„Zrobiłeś mi wielką krzywdę, mój Julu, — pisała Misia, — nawet sobie wyobrazić nie możesz, coś uczynił. Zatrueś mi chwilę mego małżeństwa od dnia ślubu i zmaciłeś spokój, którego już nie odzyskam. Przypuścić nie mogę, abys to uczynił ze świadomością i celem; nie odezwałabym się do Ciebie, gdybym wiedziała, że zagórowały w tobie tak nieszlachetne uczucia.

„Dotąd jednak nie umiem sobie wytłómaczyć, jaki cel miałeś, ogłaszając drukiem swoją powieść. Czy chciałeś mnie ukarać za mimowolną winę, że Twego serca nie zgasiałam wcześniej, gdy w niem pierwsze iskry miłości dostrzegłam, czy za niewiarę, którą Ci okazywałam?...

Ależ ta kara sroższą i gorszą byłaby od zemsty!...

Szlachetne serca cierpią, broczą krwią, pękają, ale się nie mszczą tak okrutnie na kobiecie za to tylko, że ich uczuć podzielać nie mogła i że za słabą była, aby się wyrwać z oplątanej sieci.

Przecież ja postępowałam z Tobą szczerze, nie robiłam Ci żadnych nadziei, nie igrałam zalotnie z Twoją miłością, pozwalałam ci tylko rozmawiać o niej z sobą i to pewnie było źle, to był błąd z mojej strony, który się dzisiaj na nas obojgu zemścił.

Ale czyż ja przewidzieć mogłam następstwa takie?

Ja sądziłam, że z chwilą, gdy należeć będę do innego, do męża mego, wszystkie rachunki między nami będą skończone i że jakaś wyższa instancja rozstrzygnie między mną a Tobą, że powaga i świętość małżeństwa ochroni mnie i Ciebie od dalszych pokuszeń.

Czemuś Ty nie uszanował tego?... czemuś jeszcze raz targnął się na moje serce, wiedząc, że je oddałam innemu?...

Czytałam Twoją powieść, czytałam ją dzień za dniem, i cierpiałam podwójnie, bo Ty wciągałeś mnie w to swoje potępieńcze piekło, a drugie stwarzało około mnie życie, świat, ludzie źli albo głupi, którzy z naszej męczarni igraszkę sobie robią.

Przed ludźmi i przed światem nie trzeba niebacznie odkrywać najgłębszych tajemnic swojej duszy i swego serca, bo uszanować tego nie potrafiają.

Po co Ty serca nasze położyłeś publicznie, jak na stragan, i pozwoliłeś je dotykać brudnymi palcami pierwszej lepszej kumoszki, pierwszego lepszego przechodnia?... Czyś Ty nie umiał cierpieć z zaciętymi z bólu zębami, musiałeś krzyczeć tak głośno, aby Cię cały świat słyszał?... Ja dzisiaj, i nie od wczoraj, znoszę cierpienia innego rodzaju, ale nie mniej bolesne i milczę, a jeżeli się odważyłam poskarżyć, to po raz pierwszy przed Tobą, jako przed sprawcą moich cierpień.

Ty wiesz, że ja nie mam nikogo, przed którym zbolala moja dusza mogłaby się wypowiedzieć, a z tym, z którym mnie los na wieki i najbliższej związał, nie mogę rozmawiać nawet o tem, co go ranić i drażnićby musiało.

Postawiłeś mnie w takim błędnym kółku, w takiej sytuacji bez wyjścia, że już ani do Twego sumienia, ani do Twojej szlachetności, ani do rozumu, ale do łaski Twej się odwołuję, abys skończył moje udręczenia i przestał sączyć te krople jadu, które mnie i tym, których kochać i szanować powinienam, zatruwają spokój i życie.

Jeżeli to prawda, żeś mnie tak kochał i kochasz jeszcze, to mi dasz największy dowód miłości, przerywając dalszy druk tego nieszczęsnego „Piekła,” aby codziennie świeżym żarem nie buchało.

Ty to uczynisz, Julu?... Ty się ulitujesz i zrobisz dla mnie tę jedną jeszcze ofiarę, za którą niczego wprawdzie przyrzec Ci nie mogę, ale pozostanę wdzięczną do końca życia i będę o Tobie wspominała ze smutkiem, lecz i z szacunkiem, ze współczuciem siostry i... przyznam się przed Tobą, jeżeli Ci na tem wyznaniu co zależeć dzisiaj może, z wyrzutem, żeś Ciebie i Twoich uczuć naleźycie ocenić nie umiała.

Ale na co się przyda dzisiaj ta skrucha,

kiedy wszystko za późno i wszystko między nami musi być skończone!

Życie uczy nas niedowiarstwa, a to życie, które ja prowadziłam, ten świat, w którym oboje byliśmy zmuszeni żyć wśród blichru, fałszu, szychu i przewrotności, uczyniło mnie jeszcze większą pessimistką i jeszcze większy sceptycyzm wkorzeniło, aniżeli ten, z którym widocznie na świat przyszedłam.

Bywają natury nie zdolne do szczęścia, w których jest czegoś za dużo, lub czegoś za mało, aby po ziemsku potrafiły być szczęśliwe i zadowolone; mnie się dziś zdaje, że ja jestem chyba jedną z takich natur zbrakowanych, których fatalnością jest, że szczęścia brać nie umieją, więc go i dać nie potrafią nikomu, nawet tym, których kochać muszą.

Ostatnią moją ostoją, ostatnią dźwignią, na której mam jeszcze nadzieję się oprzeć, jest moje dziecko, które może Bóg mi zesała dlatego, abym się nie czuła tak samotną i odosobnioną od całego świata, jaką czułam się zawsze w głębi duszy.

W dalszym ciągu opisywała mu w krótkości, jakie wrażenie, jakie domysły i podejrzenia wzbudziła jego powieść, ile przykrości ma do zniesienia w najbliższym swoim otoczeniu, jak trudne i dotkliwe położenie wytworzył jej odsłonięciem ich niewinnego stosunku, który dzisiaj po tej jego publicznej spowiedzi najfałszywiej bywa tłómaczony i daje powód do zgorznienia i plotek.

„Uczynisz teraz, co ci uczciwość i sumienie podyktuje, — kończyła; — ja pierwszy i ostatni raz jęknęłam z bólu i umęczenia przed Tobą; więcej się nie odezwę i zamilknę znowu, choćbym na Twoich torturach skonać miała“.

Zacisnął usta, zacisnął powieki i przez chwilę siedział ogłuszony, oniemiały, martwy, — potem nagle zerwał się i zaczął chodzić po pokoju szybkim krokiem, przegarniając włosy, spadające mu na czoło.

— Paszkwilista, paszkwilista! — wybuchł co chwila i dyszał gorączkowo, jakby go Furye zgoniły.

Eliziewicz przypatrywał mu się ze swego fotelu, zmrużał to jedno, to drugie oko i głowę przekrzywiał z boku na bok.

— Zwaryowałeś? — spytał nareszcie, widząc, że się nie uspakaja. — Jaki paszkwilista?... Kto?...

— Ja!

— Ty?... dlaczego?

— Paszkwilista jestem!

— Ale dlaczego? — dzisiaj to bardzo modny nawet rodzaj pisania. Winszuję panu!

— Nie żartuj pan, proszę pana!

— Więc mam cię na seryo za waryata traktować?... czemu nie!... mogę.

Julek stanął przed nim z rękoma w kieszeniach, spojrzął mu bystro w oczy, otworzył usta i zaczął:

— Czy Pan wiesz...

Rozmyślił się jednak nagle, urwał w połowie zdania, chwycił za kapelusz i bez pożegnania, bez słowa wyjaśnienia wybiegł spiesznie z pokoju.

Na ulicy wskoczył do dorożki i kazał się zawieźć na najbliższą stację telegraficzną, z której „dringend“ wysłał depezę do Redakcyi „Gazety Porannej“ tej treści:

„Proszę natychmiast przerwać druk mojej powieści. Powody wytłómaczę listownie. Honorarium zwrócę. Przerwać koniecznie.“

Potem dopiero odetchnął, wyszedł na Ringi i usiadłszy na najbliższej ławce, wyjął list Misi z kieszeni i powtórnie zaczął go odczytywać, zastanawiając się nad każdym ustępem.

Im bardziej zagłębiał się w jego treść, tem silniej czuł się wzruszonym i przejętym; nie mógł usiedzieć na miejscu spokojnie, zrywał się i biegł przed siebie, wymijając przechodniów, przechodząc z jednej strony ulicy na drugą, przysiadł znowu na ławkach i znowu wstawał, aż nareszcie zaszedł do Stadtparku, gdzie w ustronnem zaciszem miejscu

znalazł dla siebie schronienie, mogąc być sam-na-sam ze sobą i swojemi myślami.

Ogarnął go jakiś straszny, gryzący smutek i tęsknota; byłby się rzucił na tę świeżą murawę, która przed nim, jak zielony kołbierzec zaścielała ziemię, szarpał pierś, tarzając się z bólu, i wył, jak pies.

Nigdy tak bardzo, tak głęboko nie odczuwał tego, że kocha i że wyrzec się musiał ukochanej. Z listu jej brzmiał smutny ton żalu i skargi, której dotąd nigdy z ust jej nie słyszał; ani słowa gorzkiego wyrzutu nie napisała mu, tylko skarżyła się pokornie, smutno, ta dumna umęczona dusza i odzywała temi prostymi słowami, jak wówczas, gdy w roznamiętnieniu pierwszy i jedyny raz pochwycił ją w objęcia w parku Natolińskim i pokrywał jej usta gorącymi pocałunkami.

— Julu, coś ty zrobił! — zdawało mu się słyszeć teraz tym samym tonem powtarzane przy każdym ustępie jej listu i tak samo, jak wówczas byłby sobie wyrывał włosy z głowy, aby zagłuszyć ból, jaki mu te słowa sprawiały.

— Dlaczegoś ty mnie pokochać nie mogła? — przemawiał do niej w myślach i patrzył przed siebie oczyma wlepionymi w pustą przestrzeń, jak gdyby widział ją przed sobą stojącą; — dziś ani mnie, ani sobie szczęścia nie dałaś, dziś moja wzgardzona miłość prześladuje nas oboje, jak upiór. Czemuś mi nie wierzyła, czemu?...

Zdjął kapelusz, zwiesił głowę, zasłonił sobie ręką oczy i siedział tak przeszło godzinę, zapomniawszy o całym świecie; ogromna żalność ssala mu serce... czekał, aż się nassie i nasyci jego bólem.

Ze wszystkich, którzy nagle przerwaniem „Piekła miłości“ byli zaskoczeni, Taniecki najbardziej zajęty był odgadywaniem tej niespodziewanej zagadki.

Sprawiła ona na nim z początku wrażenie dodatnie; nie domyślając się właściwych przyczyn, które skłoniły Julka do tak sta-

QUODLIBET.

(Pogawędka).



(Ciąg dalszy).

Jest coś w atmosferze Heidelberga, co od mładza; tężyzna młodości i powaga nauki nadają mu dwie najwybitniejsze cechy. Nad wszystkim góruje tu Uniwersytet, który wypiastował całe pokolenia doktorów i magistrów rozmaitych umiejętności.

Zdaje ci się słyszeć w powietrzu szelest professorskiej togi, kart przewracanych w księgach i seksternach, skrzypienie pióra w audytoryach, a z po za murów uczonej wszechnicy i pękatej biblioteki miesza się z temi odgłosami chrzęst studenckich rapirów na menzurze, klekotanie kufli „beim Salamanderreiben“ i odwieczna piosnka akademicka: „Gaudemus igitur!...“

I przychodzą ci na myśl najpiękniejsze lata życiowej wiosny, kiedyś sam był studen-

tem, roił, marzył, uczył się, chodził na wykłady w dzień, śleczął przy stoliku po nocach, czasem nie dojadł, często nie dośpał, ale był szczęśliwy upojeniem młodości i tą wielką, silną, czarodziejską nadzieją, że cały świat wpadnie kiedyś w twoje wyprężone ramiona.

Byłeś wtedy gołobrodym tytanem, szturmującym niebo i miałeś zaledwie wypierzone skrzydła, ale czułeś się mocnym, wierzyłeś w orlą swych lotów potęgę, trawiły cię głód i pragnienie życia, chciałeś pędzić... jak automobil, aby prędzej, aby dalej, aby do celu, choćby po za cel, choćby do tysiąca celów!...

Młodości, tyś największym skarbem człowieka; czemuż życie wydziera mu go po kawałku, dopóki całego nie wydrze?...

Ale jest jedna skrytka, w której najdłużej przed tym rabunkiem uchronić możesz chociaż cząstkę tego skarbu, człowieka; na ucho ci powiem, gdzie najdłużej młodość ukryć winienes i gdzie jej strzedz trzeba, jak groszy ostatnich na czarną godzinę życia: w sercu!

Dopóki ci się serce nie zestarzeje, dopóki zdołasz czuć żywo, kochać, pragnąć, dążyć,

nie rób sobie nic z siwizny na głowie, nie pozwól tylko duszy posiwieć wcześniej od głowy, bo wtedy twoje najczarniejsze i najgęstsze włosy warte byłyby tylko tego, abys je własnymi rękoma powyrywał.

Opuszczałem Heidelberg rano, po nocy przespanej w hotelu blisko Ogrodu miejskiego, z którego do późna dochodziły odgłosy muzyki i kołysały mnie wieczorną pieśnią Schuberta.

„Sei mir gegrüsst, sei mir geküsst!“ — spiewało za oknem z czułością kochanki; zamknąłem oczy i marzyłem, jak ongi przed długimi laty, i byłbym chętnie zerwał się z łóżka, podszedł do okna, wyciągnął ramiona w ciemną noc i chwycił w objęcia... tę trąbkę, która mi do snu grała serenadę.

Droga nad Neckarem, którą się jedzie do do Würtzburga, godną jest pióra poety i pędzla malarza; jedni i drudzy zużyli już dużo papieru i płótna, aby ją rozślawić.

Soczysta, szmaragdowa, gruba zieleń pokrywa wzgórze, które jak ogromne, włochate gąsiennice pełzają po obu brzegach rzeki,

nowczego kroku, uważał jego postępek za pewnego rodzaju rehabilitację i zadosyćuczynienie dla siebie.

Przeczytawszy ogłoszenie od Redakcyi w „Gazecie porannej,” umyślnie przez cały dzień obserwował tylko żonę, unikając poruszenia tego tematu w rozmowie.

Misia była spokojną i milezącą, jak zwykle; oczy miała zaczerwienione, jakby od lez pokryjomy ocieranych i wypieki na policzkach, ale poza tem wydawała mu się niezmienną pozornie.

Wieczorem nie mógł wszelako dłużej wytrzymać; zbliżył się do niej i ująwszy jej rękę, poniósł [do ust a patrząc jej badawczo w oczy, rzekł:

— Nareszcie twój autor doszedł do rozumu i uznać musiał swą wielką nietaktowność. Wiesz o tem, że przerwał swoją piękną powieść i przestał nas na śmieszność narażać?

Spojrzała na niego i cofając nieznacznie swą rękę, odpowiedziała krótko:

— Wiem.

— Ciekawym tylko, co go skłoniło tak późno do takiego heroizmu?—odezwał się z lekkim odcieniem ironii, której nie umiał zatłumić w sobie.

— Mój list,—objaśniła go głosem spokojnym i naturalnym, jak gdyby nie widziała w tem nic osobliwego.

Cofnął się o krok i twarz mu się nagle dziwnie zmieniła.

— Ty pisałaś do niego?

— Tak jest.

— I nie mi o tem nie wspomniałaś do tej chwili?—zawołał.

— Bo nie byłam pewną skutku mojej prośby.

Taniecki zachnął się i drgnął, jakby go żmija ukąsiła.

To odkrycie sprawiło mu ból dotkliwszy, aniżeli wszystkie feljetony razem, które od pół roku odczytywać musiał, gryząc się

i męcząc w sobie ukrytymi przypuszczeniami...

W tej chwili znienawidził do reszty swego rywala.

(Ciąg dalszy nastąpi).



SZCZEŚLIWY.



Szczęśliwy, kto z miłością spotkał się zaraniem,
 Szczęśliwy, komu chęci los czynem odmierzył,
 Szczęśliwy, kto do zmierechu patrzył z ukochaniem,
 Szczęśliwy, kto miał wiarę i wiary nie przeżył.
 Szczęśliwy, kto pod swoją mógł się chronić strzechę,
 Szczęśliwy, komu przyjaźń dłoń z dłonią zespoli,
 Szczęśliwy, kto na smutki w łzach znajdzie pociechę,
 Najszczęśliwszy, kto własnej nie odczuł niedoli.

K. Laskowski.



Marya Łopuszańska.

OBRAZY Z PRZESZŁOŚCI NIEWIAST.



(Ciąg dalszy).

Roześmiała się bezymyślnie, słysząc tę odpowiedź i rzekła:

— Jam jest najwyższą kapłanką bogini Athar...

— To znaczy, iż jesteś niewolnicą...

Pogardliwy uśmiech ukazał się na jej ustach.

— Za mój jeden uścisk książęta i możni płacą złotem, a ty mówisz, że jest niewolnicą! Gdybyś nie był tak pięknym i wspomniałym, pomimo twoich łachmanów, poznał-

byś, co znaczy moja władza, tu w świątyni!

On uderzył ją swym wzrokiem potężnym i nagle serce w niej zamarło, niewiadomo czemu, lęk niespodziewany ścisnął je, jak gdyby uczuła nad sobą panowanie wyższej, nieznannej władzy. Władza ta zdała jej się wrogą i obcą, ale zarazem czuła, że jej się oprzeć niepodobna.

— Cudzoziemcze, jesteś chyba czarownikiem,—rzekła wreszcie głosem zdławionym. — Boję się ciebie, nienawidzę, a jednak, gdybyś mi co rozkazał, czuję, że musiałabym ci być posłuszną...

— Dlatego, żeś po raz pierwszy spotkała się z duchem, który posiada siłę nieśmiertelną...

— Nie wiem po coś tu przyszedł, ale czuję, żeś mi wrogiem...

— Nie jestem wrogiem twoim, lecz od potęg, którym służysz, chcę cię wyzwolić...

— Nie wiem, co mówisz, boję się ciebie...

— Boś jest w tej chwili żywym obrazem ślepych sił przyrody, w których duch jeszcze drzemie. Przyjdzie czas, w którym on się zbudzi, a wtedy przejrzysz...

— Nie rozumiem cię, mówisz dziwnie, może ty jesteś bogiem Melkortem, który nieraz zchodził do ludzi?

— Jestem tylko człowiekiem, którego duch wyzwolony posiada moc nad duchami jeszcze niewyzwolonemi...

— Słowa twoje są dla mnie ciemne, widzę to jedno, że obojętnem okiem patrzysz na moje ciało, które inni tak cenią. Czegóż więc chcesz odemnie?

— Tak, ciało twoje jest mi obojętnem a nawet nienawistnem, ponieważ służy za narzędzie dla ciemnych potęg niewyzwolonej jeszcze przyrody, ale dusza twoja nie jest mi obojętną chcę uczynić ją wolną...

Nie rozumiała go wcale i jakaś głucha nienawiść i bunt kielkowały wciąż w jej łonie. Chwilami czuła dziwną rozkosz na myśl, że mogłaby sama, własnoręcznie zatopić nóż w je-

plaszczą się i kurczą, wydymają i płaczą z sobą; niekiedy jedna na drugą wchodzi, jakby ją chciała zepchnąć do Neckaru, a jakby w tych zapasach obie się pogryzły, miejscami duże krwawe plamy czerwienieją na zielonych zboczach; to odsłonięte pokłady granitu wyzieraają tak z pod wydartej ziemi, a wyglądają, jak broczące rany.

Po Św. Janach na mostach i Mękach Bożych w polu, po kapliczkach i obrazach na przydrożnych drzewach, łatwo poznać, że z protestanckich krain wjeżdża się do katolickiej Bawaryi.

Pejzaż przybiera coraz bardziej charakter monachijskich oleodruków, które zdobią ściany drugorzędnych restauracji i bawialnie pocziwanych mieszczkańskich domów.

Kocham naturę, umiem odczuwać jej nastrój i rozkoszować się jej pięknem, ale mam oczy, które napatrzyły się tylu widokom, że kiedy mam podziwiać krajobraz, to już wymagam trochę więcej od pejzażowego szablonu. Jedne i te same motywy znużają, znużają

się dla wzroku turysty, zwłaszcza, jeśli się powtarzają za szybko.

Z automobilu w rozpędzie chwyta się za dużo tej zieleni, błękitu i gumiguty, którymi natura maluje przeważnie swe pejzaże; za dużo widzi się tych lasów, wzgórz, dolin, tych strumieni i krętych rzek, aby je spamiętać wszystkie i rozróżnić; w końcu człowiek obojętnieje i powiada sobie:

— *Sempre lo stesso e sempre bene!*

Jak zblazowany Albionczyk w podróży, przynymka powieki i udaje, że patrzy, przeczytawszy wprzód sumiennie swojego Baedekera; dopiero gdy natrafi na miejsce „pod gwiazdką,” które jako osobliwość godne jest widzenia, otwiera oczy, budzi się z drzemki apatycznej, wyjmując lornetkę z futerału i wydaje to charakterystyczne: „Aah!”, które powiada więcej, niż cały potok gorącej wymowy.

„Mnie do pejzażu nie wiele potrzeba,—zółte poletko i kawałek nieba, słomą pokryta gdzieś wieśniacza chata, garbata wierzbza, grusza rosochata, w polu bydelko, zgonione na paszę;—patrzę i zaraz w zadumę zapadnę,

i dość mi tego, nie że takie ładne, lecz że tak swojskie i że takie nasze!”

Dla swojskiego krajobrazu mam też wielką sympatię, a przez nią dużo wyrozumiałości dla jego braków i monotonii, ale za granicą szukam już czegoś więcej, jestem wybredniejszy i umiem się krzywić, jak grymasna panna.

— Et, widziałem to już tyle razy! — mruczę pod nosem i odwracając oczy od opatrzonych widoków, wyciągam książkę i zaczynam czytać.

Bo w automobilu można mieć swój *cabinet de lecture* w podróży, swoją sypialnię nawet, swój salonik konwersacyjny, byle było z kim przyjemnie gawędzić, swoje obserwatorium i swoją świątynkę dumania, byle było o czem.

Do zadumki i marzeń najlepszą jest nocna pora,—jazda nocą w automobilu ma prawdziwy urok; ze wszystkich wrażeń mej podróży, najgłębiej i najsilniej zapisały mi się w pamięci owe chwile o szarym zmroku po słońca zachodzie i w ciemną noc, kiedy u samochodu zapłonęły latarnie, rzucające z refle-

go sercu; rozkosz ta stawała się tak gwałtowną, że aż stawała się bólem...

Zabić go najpierw, a później wpić się go-rejącymi ustami w jego martwe usta!...

Ale on spojrział na nią wzrokiem spokojnym i głębokim, jak gdyby odgadywał jej myśli, i znów uczuła się pod władzą jego ducha, spętana dziwnym czarem.

Ślepa, instynktowa, pierwotna przyroda uczuła wreszcie, że zapanował nad nią królewski duch, i po pierwszych popędach do buntu poddała się pod jego władzę. Gdzieś w nieświadomych jej głębinach zadrgała może pierwsza iskierka budzącego się jej własnego ducha...

W ubogiej gospodzie, znajdującej się na krańcach miasta, leżał Hierokles, złożony chorobą. Elissa opuszczała często świątynię i potajemnie spieszyła do jego łóża; tam, uklękłszy u jego stóp, słuchała tego, co mówił, a choć jeszcze wszystkiego nie pojmowała, jednak głos jego wnikał do głębi jej duszy, budząc się pod jego wpływem. A on mówił:

— Chuć męzka uczyniła cię niewolnicą ślepych, sromotnych popędów, wolny zaś duch męzki wyzwolił cię od nich i uczyni człowiekiem.

— Panie, jestem twoją, czyż ze mną, co chcesz!... Tyś mi dopiero oczy otworzył na to, czem jestem... Nie chcę przebywać dłużej w tej świątyni, pójdę za tobą na kraj świata...

Dziwny i tajemniczy uśmiech ukazał się na obliczu Hieroklesa:

— Powiodę cię więc w krainę, gdzie przebywa bozka Psyche... Czy widziałaś poczwarkę, z której rychło ma się wykluc skrzydlaty motyl? Słaba jest, nie wie sama, co się z nią dzieje, aż oto pęka gruba, brzydka powłoka, ukazują się tęczowe skrzydła, ale jeszcze zwinięte, bezwładne. Po chwili jednak motyl roztrzepuje je, wygładza i wzbija się wysoko nad ziemią. To jest obraz duszy, która się wyzwoliła z pęt grubej materii. Czem jest bozka Psyche przed wcieleniem? Jest to technienie, ptak gnany wia-

trem, przechodzi ona po kolei z jednego ciała w drugie, cierpiąc, grzesząc i oczyszczając się, lub też spadając niżej, według tego, jak silną posiada wolę ku dobremu. A jednak przez długie okresy wieków staje się córką Boga najwyższego, i niema innej ojczyzny prócz nieba...

Od kiedy też zbudziła się, strącona przez tajemnicze prawo ze swej ojezystej, eterycznej krainy w gęste pokłady powietrza ziemskiego, — Psyche dostała się natychmiast do więzienia, które dla niej stanowi ciało nasze. Żyje, oddycha i myśli za pomocą niego, a jednak ono nie jest nią. Człowiek składa się z trzech pierwiastków: ciała, duszy i ducha. Ciało jest grubą materią, duch jest niewidzialny, nieśmiertelny i bezcielesny przez swoją naturę, ale przebywając w nas, stwarza sobie odrębne ciało eteryczne i to jest właśnie dusza, czyli Psyche. Uwięziona i dręczona wije się w objęciach dwu swoich towarzyszy nierozłącznych: ducha i ciała, jak Laokoon w uściskach węża. Czasem ciało pochłania ją i zwycięża, tak, że żyje tylko jego instynktami i namiętnościami; tarza się wraz z niem w krwawych orgiach i rozkoszach bydlęcych, kiedy nagle strach ją przejmuje, gdy się ocknie w niej coś nieznanego, jakaś iskierka, którą jest duch nieśmiertelny. Czasem znów pociągnięta przez owego drugiego towarzysza, wznosi się na takie wyżyny, że zapomina o istnieniu ciała, aż dokąd to ostatnie nie upomni się o swoje prawa. A jednakże między Psychą a ową iskierką, która spoczywa w jej łonie związek jest nierozzerwalny, podczas, gdy związek z ciałem zostanie zerwany przez ową przemianę, którą ludzie pospolicie nazywają śmiercią. Ale targana w dwie strony Psyche nadaremnie szuka na ziemi szczęścia i prawdy. Jak listek gnany wiatrem, w ciągłej pogoni i w ciągłej walce, wątpi wreszcie o siebie i o owej ojczyźnie swej bozkiej, z której wyszła, aż wreszcie przychodzi śmierć, która ją wyzwala. Jeśli to była dusza czysta i święta, wówczas

wznosi się w wyższe krainy, w Elizyum niebieskie, kędy czekają ją inne duchy błogosławione, jeśli zaś dusza w ziemskiej wędrówce skalała swą białą szatę, wówczas krąży ona przez czas pewien w „Otchłani Hekaty“, aby powrócić później na ziemię w celu rozpoczęcia nowego życia, nowej próby, albo też oczyszczona wstępuje do Elizyum, by się połączyć z innymi duchami doskonałymi. Ale cóż mam powiedzieć o duszach złych bezwzględnie, które tu na ziemi pełniły same dzieła niesprawiedliwe? One spadają na niższe szczeble, tracąc swoją ludzkość i przechodzą w następnym życiu w ciała zwierzęce, aby następnie znów ciężką pracą i za pomocą strasznych prób dosługiwać się dawnej swej ludzkiej godności. I dlatego to Mistrz powiedział: „Zwierzę jest pokrewne człowiekowi, a człowiek jest pokrewny bogom nieśmiertelnym...“ Taką jest historia wędrówek bozkiej Psyche...

Umilkł Hierokles, a Elissa jeszcze słuchała, wpatrzona w jego oblicze, rozjaśnione wewnętrznym światłem.

— Panie, — rzekła, pochylając głowę z bezgranicznym oddaniem, — oto odsłoniłeś przed memi oczyma prawdy, których nie przeczuwałam nawet, obudziłeś duszę moją, która spała snem głębokim; — zali ją opuścisz wpół drogi? Czy nie odkryjesz jej dalszych tajemnic? Ja wiem, że dusza oczyszczona przez próby może się stać równą bogom nieśmiertelnym, przeto gotową jestem na wszelkie próby, aby dusza moja mogła kiedyś podążyć w owe krainy, o których mi mówiłeś... Powiedz, o panie, czy to być może? Chciałabym być tam chociaż najniższą z niewolnic twoich... Z błotaś mię podniósł, a więc chcę być tam choćby prochem, który deptać będą stopy twoje!

Hierokles położył swą wychudłą rękę na jej głowie i rzekł swym głosem cichym a jednak przenikającym ją zawsze do głębi:

— W tamtych krainach Elisso, niema niewolnic i niewolników, są tylko siostry i bracia.

ktorów białe światło na dwieście metrów przed sobą.

Przy tem świetle wydzielaliśmy sobie kawałkami drogę z ciemności i rzeczywistość nabierała pozorów bajki; światło, jak czarnoksiężnik biegło przed nami i czego dotknęło swym promieniem srebrnym, rzeźbiło i malowało przedziwnie na tle czarnej nocy.

Gościniec wydawał się, jak z alabastru, kamienie przydrożne, jak z kararyjskiego marmuru, drzewa nakładały seledynowe płaszcze, szyby w okienkach domów wiejskich świeciły, jakby wyrżnięte z brylantów; wszystko w tym świetle wydawało się zjawiskowym, zapalało się na chwilę żywymi barwami i gasło, jak meteor, tonąc znowu w otchłani nocnej.

Żałuję, że nie mam talentu Amadeusza Hoffmana, albo Wilhelma Hauffa, bo ten materiał mógłbym zużyć do napisania jakiej fantastycznej powieści, której bohaterem byłby poeta, pędzący na smoku przez pola i lasy po nocy, a zbudzone rusałki, nimfy i dryady zabiegałyby mu drogę, widma wyskakiwały

z pod ziemi i rozplywały się w powietrzu bez szelestu, białe ćmy, jak zakłęte dusze fruwałyby przy roziskrzonych ślepiach smoka, spłoszone sarny i zające przeskakiwałyby gościnnie, a psy z rodu Cerbera rzucałyby się nagle z piskiem i szeczekaniem na nocnego jeźdźcę z bajki.

Wszystko tak było w prozaicznej rzeczywistości, tylko mi wyobraźnia prozę w wiersze rymowała i przeżywałem chwile poezji życiowej, którą tak łatwo sobie stworzyć, gdy się ma trochę fantazyi i złudzeń.

Ale i tak za dużo dopuszczam dysgresyi, zbaczając nieustannie od przedmiotu, jakbym za motto do tych rozdziałów wziął sobie słowa: „Gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie karczmy Babińskie?“

A gdzie automobil i gdzie Würtzburg?...

Gdzie?... a tutaj właśnie.

— Pozwól tu spocząć zawróconej głowie! — chciałem ze Słowackim powiedzieć mojemu przyjacielowi, gdyśmy pod wieczór stanęli w bawarskim Würtzburgu, ale że: „na czym wózku jedziesz, takiego pana słuchasz,“ więc mu-

siałem się zgodzić na wszechwładne *dictum*:

— Zanocujemy dopiero w Bambergu!

Lubię ludzi stanowczych i szybko się decydujących, bo to bywa zwykle cechą silnych charakterów.

„Nie lubię takich ni z masła ni z wosku, których przypadek ulepią jak zehce; każde wrażenie jednako ich lechce, lecz do żadnego nie popycha wniosku.

„Tak lub nie, — umiej powiedzieć stanowczo i wtedy idź już raz wytkniętym śladem, — inaczej będziesz z swą naturą oweżę musiał wciąż beczeć i chodzić za stadem.“

W Würtzburgu zobaczyłem tylko królewski pałac; sprawia on wrażenie szkatuły, z której wszystkie klejnoty wyjęto, i pochód burszów niemieckich, odprowadzających do grobu swego koleżę.

Wyruszyli w paradzie z chorągwiemi na czele, w obcisłych białych pantalonach, w ogromnych buciskach z cholewami, ale za to w jaknajmniejszych czapczkach na czubku głowy, z różnobarwnymi wstęgami przez ramię i rapirem w rękę.

Chucie, które skalają twoje ciało, nie tknęły bożkiej Psyche, która w tobie spała dotąd snem głębokim, lecz dziś, gdy się ona w tobie obudziła, strzeż się ją zbrudzić czemkolwiek, bo już nie jesteś, jak dotychczas, tylko głownią w rękę podpalacza, lecz wolnym duchem, który może grzeszyć i dobrze czynić a z każdego czynu ma zdać kiedyś rachunek.

Ale Elissa zasmuciła się jego słowami, które wzięła za odmowę i odepchnięcie.

— Więc nie chcesz mieć swoją niewolnicą?

— Chcę, abys była kiedyś siostrą moją.

Elissa wciąż jednak była smutną.

— Czemu się smuczysz?— spytał ją Hierokles łagodnie.

— Chcę być w przyszłym życiu albo twą małżonką lub twą niewolnicą, — siostrą być nie chcę!— odrzekła, odwracając głowę.

Hierokles uśmiechnął się smutnie i rzekł na pół do siebie:

— Jeszcze duch nie zwyciężył zupełnie natury i ta bunt podnosi...

Poczem, położywszy znów rękę na głowie Elissy, ozwał się do niej, jak do dziecka:

— Słabą jest twoja dusza i nie dorosła jeszcze do pojmowania tych rzeczy, ale przyjdzie czas, że je zrozumiesz i wówczas uznasz, że imię siostry jest wyższem ponad wszystkie... a zmęczony długim mówieniem, umilkł i przytknął oczy, a ona owinawszy głowę w zasłonę, usiadła u stóp łoża, czujna na każde jego poruszenie.

Tak płynęły dnie za dniami, a Elissa codziennie przybiegała do gospody i spędzała długie godziny przy łożu Hieroklesa, którego siły coraz bardziej opuszczały. Pomimo jednak, że mu tchu nieraz brakło, wtajemniczał Elisę w swoją wzniosłą naukę, przetwarzając ją powoli w inną istotę. Dnia pewnego Elissa, odchodząc, zostawiła go bardziej niż kiedy bezsilnym, po dniu spędzonym w ciężkiem pasowaniu się z niemocą, ogarniającą ciało. Nazajutrz przybiegła bez tchu

prawie i zastała go leżącego na łożu bez ruchu, z zamkniętymi oczyma. Nie ruszył się, kiedy się nad nim pochylała, kiedy wzięła go za rękę i poczęła wołać nań z rozpaczą. Wówczas przekonana będąc, że umarł, padła na ziemię i zaczęła się tarzać, szarpiąc na sobie włosy i odzienie, a z ust jej wydobywały się głuche jęki, choć ani jedna łza nie popłynęła z oczu.

— Opuściłeś mnie, opuściłeś, — a cóż ja poczną teraz sama na świecie?— wołała z wyrzutem. — Pocóżes zbudził moją duszę, aby cierpiała męki straszliwe? Żyłam, nie znając mego poniżenia tak, jak roślina cykuty nie wie, iż nosi w sobie truciznę, — aż przyszedłeś ty, aby mnie zbudzić i wskazać inne życie, kędy jest ból i radość wyższa nad moje dotychczasowe radości. W pierwszej chwili, gdym poczuła, że dusza moja się budzi, lęk mię jakiś ogarnął, jak gdyby w przeczuciu cierpień, które teraz przechodzę... O, dusza jest strasznym ciężarem... ona mię przegniata... wyzwól mię od niej, albo żyj i nie zostawiaj mnie samej, bom słaba i nie podołam. Skargi jej rozlegały się po izbie, aż wreszcie obudziły Hieroklesa z głębokiego omdlenia, w którym był pogrążony.

Wówczas okrzyk szalonej radości wydarł się z piersi Elissy:

— Żyjesz, żyjesz! — zawołała, podbiegając ku niemu, — a jam tak cierpiała strasznie, myśląc, że już umarłeś! Ale nie żałuję teraz, bo radość, którą czuję, wynagradza mię, za przecierpiane męki!

— Te męki, Elisso, były właśnie ową próbą, przez którą dusza oczyszcza się, by być godną wyższych krain, przybytku duchów doskonałych... Ja odejdę wkrótce, a ty zostaniesz, aby się przygotować do połączenia się ze mną tam...

To mówiąc, wskazał jej na niebo gwiazdziste, widne przez okno.

— Czy chcesz zostać i cierpieć tutaj, aby oczyścić się, — jako wolny duch wznieść

się w gwiazdziste krainy, kędy będę oczekiwał na ciebie?

— Chcę! — zawołała z mocą.

— Siostro! — wyrzekł cicho, wyciągając do niej rękę.

— Przed chwilą, sądząc żeś umarł, zbluźniałam, bo pragnęłam wyrzec się duszy, aby uniknąć bólu, ale teraz chcę żyć, chcę cierpieć, chcę wic się w bólu, byle tylko tam połączyć się z tobą i być ci siostrą!

— Jesteś nią już, bo ból, jak ogień, wypalił zamię, w której żyłaś i stałaś się znów czystą...

Milczenie zapanowało; pierś Hieroklesa podnosiła się z wysiłkiem, wzrok stopniowo przysłaniał się mgłą...

Wszedł właściciel gospody, niespokojny o swego gościa, a raczej o zapłatę, jaka mu się należała. Hierokles wskazał mu głową na jakieś tajemnicze znaki, które narysował na drzwiach i rzekł słabym, gasnącym głosem:

— Nie bój się; którykolwiek z moich braci, przechodząc tędy, zapłaci dług za mnie...

Gospodarz wyszedł, spoglądając z pod oka na gościa swego i na kobietę, klęczącą u stóp jego łoża.

Hierokles niebawem otworzył oczy, które dziwnem jaśniały światłem:

— Idę połączyć się z wielką Jednością! — zawołał głosem mocnym, poczem obróciwszy wzrok ku klęczącej Elissie, dodał cicho:

— Czekam na ciebie...

I westchnawszy, oddał ducha.

W kilka miesięcy po śmierci Hieroklesa jakiś nieznajomy zatrzymał się w tej samej gospodzie, a ujrzawszy tajemnicze znaki, rzekł do gospodarza:

— Jestem Pytagorejczykiem; jeden z moich braci umarł tutaj; powiedz mi, ile ci pozostał winien?*)

Elissa, skoro tylko pochowała zwłoki Hieroklesa, znikła natychmiast z tych stron zu-

*) Jest to szczegół historyczny, malujący dobrze braterstwo wzajemne Pytagorejczyków.

Każdy związek studencki miał inne kolory, inny sztandar, z ogromną dumą dźwigany przez największego dryblasa, inne mundury prezesów, jednakowe tylko fizygnomie, wobec których Darwin z Haecklem byłiby sobie z radości padli w objęcia.

Nie chcę ubliżać głowom tych przyszłych hofratów, doktorów, referendarzy, adwokatów, sędziów, pastorów i innych luminarzy, których würtzburska wszechnica piastuje dziś u swego łona na chlubę Bawaryi, tudzież całej Germanii, — mówię tylko o twarzach.

Przysięgam, że nie zdarzyło mi się w życiu widzieć takiej kolleksji „zakazanych facyat“, z których każda wyglądała, jakby ją z „Fliegende Blaetter“ lub z „Simplicissimusa“ wycięto tępymi nożyczkami.

Maszerowali rzędami z pompą i powagą, a matka Germania przestała pewnie na chwilę robić szlafmycę drutami z bagnetów i przglądała się im z uśmiechem zadowolenia a z miłą ucieszoną babuni, patrzącej na wnuczęta, gdy się bawią w żołnierzy.

Ja sam miałem ochotę pogłaskać choć je-

dną z tych jasnówłosych, kędzierzawych główek burszowskich, przedzielonych na dwie matematycznie równe połowy, bardzo modną widocznie w Würtzburgu „Lauspromenadą.“

Długo zapewne nie zejda mi z oczu te kartoflowe twarze z rzodkiewkowemi nosami, o ustach pomidorowych, te głowy fryzowane, jak smardze, te miny *steif und keck* przyszłych junkrów i kreishauptmanów, te krótkie kurty, obcisłe inexprymable i siedmiomilowe buty, w których się największe psy würtzburskie przglądać mogą, jak w zwierciadle. Henryku Heine, czemuś ty tego nie mógł widzieć przed tem, gdyś zaczął pisać swe jaszczurcze strofy o Niemczech!...

Z królewskiego miasta Würtzburga mieliśmy podążyć wieczorem do biskupiego grodu Bambergu, — i byłibyśmy na nocleg na pewno przybyli przed zamknięciem bramy, gdyby po drodze jakiś Asmodeusz nie wyprawiał nam brzydkiej psoty i nie podstawił nogi naszemu automobilowi.

Niby głupstwo, niby nic, bagatelka, a zepsuła nam cały wieczór i całą przyjemność podróży.

Leżał sobie na gościńcu gwóźdź, i to marny gwóźdź z chodaka nabijanego gwoździemi; żeby chociaż jaki hak albo bretnal, albo sruba!... gdzie tam, najpospolitszy z gwoździ, i to szewskich w dodatku. W wieczornym zmroku udepnął go nasz nieopatrzny samochód i zaskalił sobie nogę; powiem wyraźniej, przedziurawiła się gumowa obręcz na kole i z westchnieniem, z jakim konają wszystkie istoty wydęte — „skrepiowała“, co znaczy pękła, mówiąc językiem zwykłych śmiertelników, nie automobilistów.

Musieliśmy, jak pod Gravelotte przystanąć znowu, tym razem na skraju lasu, w pustem polu, na wzgórzu i zabrać się do nakładania nowej obręczy.

A przed nami w dolinie, o kilka staj leżało miasteczko Ebrach, błyszczały światelka w oknach, świdrowały się czarne dymy z kominów; szczęśliwi ludzie zabierali się do wieszczerzy w Ebrachu, który ma domów kilkadziesiąt zaledwie, ale za to jeden ogromny, rozległy, poczerniały od starości gmach, w kwadrat zbudowany, jak forteca, z kościołem

pełnie, i nikt w Tyrze nie dowiedział się nigdy, co się z nią stało. Krążyły tylko o niej różne nieprawdopodobne wieści, coraz to sprzeczniejsze; jedni mówili, że się utopiła w morzu, drudzy, że odpłynęła do Grecji, inni znów, że została porwana przez morskich rozbójników... Ci, którzy znali piękną Elisę, wspominali czas jakiś jej okrągłe, białe ramiona i lśniące pukle włosów, lecz później zapomnieli o niej zupełnie. Tylko raz, po wielu latach, kolonia Pytagorejczyków tułająca się na obcej ziemi, ujrzała u progu swego niewiastę umierającą, która widocznie musiała przebyć bardzo daleką drogę pieszo, aby tu się dostać. Niewiasta owa umarła bardzo prędko po przygarnięciu jej przez Pytagorejczyków. Po śmierci dostrzeżono na jej twarzy wyraz jakby rozradowania, i oblicze to, zmęczone i wynędzniałe, stało się znowu pięknem, ale pięknością nie z tego świata.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Miliarderki.



III.

Pani Potter-Palmer.

Wybitna niewątpliwie osobistość, pani Potter-Palmer dała się poznać światu, dzięki wystawie wszechświatowej w Chicago, podczas której była ona prezydentką komisji pałacu kobiet. Intelligencja niezwykła, uroda i bogactwo czyniły panią Potter-Palmer godną królowania w tym przybytku, w którym zgromadzono najróżnorodniejsze przedmioty wytwórczości kobiecej. Pod jej zarządzeniem działała wystawa przybrała szczególnie szlachetną cechę. — „Co do mnie, — mówiła pani Palmer, — nie zastanawiam się nad teoryami

emancypacji i równouprawnienia kobiet, lecz uprawiam tylko praktyczną dziedzinę filantropii.“

A dziedzina to rozległa, bo obejmująca zakładanie szkół techniczno-zawodowych, przygotowujących kobiety do samodzielnego zarobkowania przez uprawianie różnych zawodów, kształcących zarówno odpowiednio uzdolnione rzemieślniczki, jak pracownice handlowe i artystki.

Taki program działalności otworzył przed panią Potter-Palmer wszystkie drzwi, dotychczas dla świata niewieściego zamknięte, a mianowicie dał jej wstęp na kongresy narodowe, na których kobietom dzięki jej wolno było odtąd występować ze swymi żądaniami i wnioskami. Mięszane te kongresy na wystawie w Chicago popchnęły na drogę praktyczną kwestyę praw kobiecych, a była to droga wręcz przeciwna krętym ścieżkom, po których się błąkały utopistki emancypacji.

W swej podróży po Europie, poprzedzającej otwarcie wystawy, pani Potter-Palmer zyskała poparcie dla swych projektów ze strony Cesarzowej Rossyjskiej, pani Carnot, żony ówczesnego prezydenta Rzeczypospolitej francuskiej, królowych: angielskiej, portugalskiej, szwedzkiej, belgijskiej, włoskiej, duńskiej i holenderskiej. Otrzymała też zachętę do swej pracy z ust Leona XIII-go, który ją przyjął na oddzielnem posłuchaniu. Oprócz tego moralnego poparcia od tylu dostojnych osób, sprawę, której pani Potter-Palmer była orędowniczką, wzięły do serca i dopomogły jej czynnie wszystkie związki i stowarzyszenia europejskie, mające na celu poprawę losu kobiet. Bractwa religijne wszelkich wyznań podjęły się dostarczyć pani Potter-Palmer najlepsze ze swych sił nauczycielskich. Po między innymi kardynał Vaughan oddał jej do rozporządzenia zakonnice angielskie, jako odpowiednie nauczycielki i kierowniczki dla szkół normalnych.

Missres Potter-Palmer nie rozstaje się prawie nigdy z pewnym klejnotem, który jest

dla niej krzyżem zasługi. Jest to złoty gwóźdź, ostatni, jaki swymi białymi rękoma wbiła we drzwi „Pałacu kobiet“ na znak, że budynek został ukończony. Gwóźdź ten, godło i pamiątka wielkiego dzieła, któremu przewodniczyła, został jej doręczony po zamknięciu wystawy. Błyszczy on zawsze przy spięciu jej sukni, gdy pani Palmer prezyduje stowarzyszeniom kobiet, których zadaniem jest skierowanie na drogę praktyczną zasad, uznanych przez kongresy zawodowe. Pracy jej na tem polu dopomaga cały sztab niewieści, składający się z najbogatszych pań w Chicago.

Gdy złoto staje się przewodnikiem poświęcenia, gdy zamienia się w nie Aryadny, wiedzącą do labiryntu nędz i niedoli ludzkich w celu niesienia ulgi cierpiącym, — wówczas martwy kruszec wychodzi z rąk, które nim szafują, oczyszczony i uświęcony.

„Królowa“ świata finansowego w Chicago pochodzi z kreolskiej rodziny francuskiej, osiadłej w Kentucky. Jej nazwisko panińskie jest Berta Honoré. W roku 1871-ym zaślubiła ona pana Patter-Palmera, który wówczas miał ni mniej, ni więcej, jak 200,000 dolarów rocznej renty. Tego samego roku, największy pożar naszych czasów, a być może, że i wszystkich epok, obrócił w olbrzymie popielisko co najmniej trzy czwarte miasta Chicago. Zgorzało 17,450 domów, gmachów publicznych, kościołów, pokrywając zgliszczami 860 hektarów ziemi. Straty wynosiły około 200 milionów dolarów; Towarzystwa ubezpieczeń wypróżniły swe kassy, wydawszy ubezpieczonym 45 milionów dolarów, to jest połowę tego co były winne i — przestały istnieć. Pan Potter-Palmer został doszczętnie zrujnowany w tej klęsce. Nie pozostało mu nic, prócz pokrytych dymiąciami zgliszczami gruzów, za które winien był 15,000 dolarów podatku.

Zubożały nagle bogacz wpadł w rozpacz nie do opisania, lecz jego młoda, pełna odwagi i energii żona, ujawniła w swe drobne

o dwóch wieżach pośrodku, ciężki, gruby, ponury, bo ongi był klasztorem a dzisiaj jest więzieniem, w którym do 2,000 więźniów pokutuje za rozmaite łotrowskie sprawy.

I ten fatalny gwóźdź właśnie spoił dwie rzeczy tak z sobą różne, jak automobilizm z kryminalistyką, — bo oto więźnie z Ebrachu noszą ciężkie chodaki, nabijane gwoździami, a chodząc po gościńcu do roboty w polu, gubią je po drodze na złość podróżnym, którzy z Paryża jadą do Karlsbadu samochodem.

A że „nieszczęście nigdy samo jedno nie przybywa,“ więc oprócz pękniętej obręczy, pękła nam jeszcze jakaś głupia śrubka przy łańcuchu hamulcowym i te dwa pęknięciaomal nie były powodem, żeśmy sami nie pękli z irytacji, zmuszeni wlec się, jak mażę po piasku ze trzy godziny potem do Bambergu.

Wlec się automobilem — o ironio!...

W Ebrachu całe miasteczko chyba wyległo z domów na ulicę, aby się przypatrzeć naszej maszynie przy blasku jej acetylenowych latarni, które od istnienia tego grodu rozlewa-

ły zapewne największy blask na jego dzióbakim bruku.

Nawet trzy córki samego pana dozorecy więzienia zwabiła ciekawość obejrzenia dziwaczniejszego wehikułu, o którym na partykularzu słyszano tylko z opowiadań.

Córki były ładne, noc ciemna, oświetlenie malownicze, nastrój odpowiedni pod murami po-klasztornego gmachu; — żałowałam, że nie jestem artystką, i że tej sceny nie mógł naszkicować do obrazu rodzajowego, możeby go był wygrał przy losowaniu jaki Mecenasa malarstwa, a jednocześnie członek Towarzystwa zachęty kosztem całych rubli pięciu, i to na cały rok!... Pewny jestem, że obraz byłby zajmujący i że szczęśliwy Mecenasa nie byłby go nigdy odprzedał drugiemu miłośnikowi sztuki, chyba za jaką setkę.

Z Ebrachu pełzaliśmy, jak kulawy ślimak do Bambergu.

„Na wieżach północ wyjękły zegary, gdyśmy zbudzili ze snu Bamberg stary.

„W Bambergu głucho i w nocy, i w dniu, głucho w niedziele, głucho w dni powszednie,

wszystko tu zda się w jakąś senną ciszę ludzi i mury do drzemki kołysze.

„W Bambergu bowiem w kościele na górze dwaj monarchowie spią w białym marmurze, jeden tyarę nosił przed wiekami, drugi koronę sadzoną perłami.

„Opodal siebie w murowanych grobach, w pięknie wykutych sarkofagach leży jeden z cesarzy i jeden z papieży, i to — rzecz ważna — we własnych osobach!

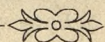
„Więc Bamberg chodzi na palcach i cicho, bo miałby wielki z Niemcami ambaras, gdyby zbudziło kiedy jakie lichy dwóch takich władców przepotężnych naraz...“

Poszliśmy tedy spać, szanując tę uroczystą ciszę, — ja, mój przyjaciel i okulaowały automobilem.

Ciekawy tylko jestem, czy w Ebrachu jeszcze o nas rozmawiali, pomimo tak spóźnionej pory!...

Quis.

(Dokończenie nastąpi).



repe ster rządów, w ciągu krótkiego stosunkowo czasu zdołała podźwignąć wszystko z upadku i na dymiących nieledwie zgliszczach, założyła fundamenty nowych, piękniejszych, niż poprzednie, budowli; były to podwaliny majątku, który mąż pani Potter-Palmer, powróciwszy do zdrowia, odzyskał szybko, i który jest jednym z najznacześniejszych w Chicago.



POGAĐANKA O FARBACH.



Mniej więcej w lecie r. 1902-go, ukazały się w handlu w Paryżu suche farby, nowość, wynalazku malarza francuzkiego, J. F. Raffaelli'ego.

Jeśli mistrze pędzla dawnych wieków interesują się jeszcze ziemską sztuką, to pewno w kolonii malarskiej w... niebie było zdziwienia nie mało, gdy tam się dostała wiadomość, że malarz, któremu się udało sporządzić nowe, świetne, znakomite farby, nie chowa zazdrośnie swych tajemnic, lecz wynalezione przez siebie farby puszcza w... handel.

Wyobrażam sobie, że tam hen, z kąd się nie wraca, musiano prowadzić z okazji Raffaelli'ego takie rozmowy:

ANTONELLO z MESSYNY (do Domenica z Wenecyi): I wyobraź sobie przyjacielu, ten tam jakiś w Paryżu, puścił swoje nowe farby w handel, a pamiętasz, jak myśmy się natrudzili, jakimi farbami Jan van Eyck namalował swoją wspaniałą „Adoracyę mędrców“, sprzedaną królowi neapolitańskiemu Alfonsovi V-mu?

DOMENICO z WENEYI: O, pamiętam doskonale: było to w r. 1442-im. Robiliśmy najrozmaitsze próby kilka tygodni. Ostatecznie ty zdecydowałeś się na długą podróż, pojechałeś do Flamandy i tam, udając szlachcica, zamawiającego portret, podpatrzyłeś sposób, w jaki bracia Eyckowie mieszają farby z olejem.

ANTONELLO z MESSYNY: Szkoda, że Andreo z Castagno nie posiadał duszy tego jakiegoś Raffaelli'ego.

DOMENICO z WENEYI: Oj prawda!.. po twojej śmierci, udając oddanego, wiernego przyjaciela, wyłudził ode mnie tajemnicę malowania olejnymi farbami, a następnie zdradnie mnie zabił podczas nocnej serenady, aby być jedynym, który zna tę tajemnicę w Italii.

BRACIA EYCKOWIE (do Antonella): Nawet tu w niebie nie możemy zapomnieć, jak nas „pan szlachcic“ ohydnie oszukał.

PIOTR z BRUKSELLI: No, no, Eyckowie, tylko nie tak dumnie! To nie wy zaczęliście pierwszą malować olejnymi farbami, ale ja, dużo przedtem, bo jeszcze w roku 1320-ym.

BRACIA EYCKOWIE: Oho, samozwaniec; tego jeszcze nikt nie powiedział, gdzie dowody?

PIOTR z BRUKSELLI: Jeśli mi nie wierzycie, przeczytajcie sobie wydaną właśnie tam na ziemi, w Paryżu, książkę pana M. Ch. Dalbona, p. t.: „Les procédés des Primitifs et les origines de la peinture à l'huile.“

BRACIA EYCKOWIE: E, fantazyje!

PIOTR z BRUKSELLI: Bynajmniej. Autor tej książki cytuje autentyczne dokumenty, stwierdzające, że już w r. 1320-m czyniono u mnie zamówienia na obrazy olejne. Wasza zasługa polega tylko na tem, żeście sposób, używany przeze mnie udoskonalili i to jeszcze nie najlepiej, skoro malarze *renaissance'u* uzyskali jeszcze lepsze farby olejne, niż wy...

TŁUM MALARZY DAWNYCH EPOK. Nie pojmujemy zaparciasię siebie Raffaelli'ego; za na-

szych czasów strzegło się nową farbę zazdrośniej, niż kochankę.

* * *

Farby suche, wynalezione przez Raffaelli'ego, mają być podobno postępem w technice malarskiej, a to z następujących powodów:

Po pierwsze farby te, jako suche, umożliwiają artystyce zaznaczać niemi swe fantazyje na płótnie bezpośrednio, niż płynnymi farbami olejnymi, gdyż bez pędzla, jeno rękoma, których czułość powiększa twórcze podniecenie. Mają więc one mieć te same zalety, co kredki pastelowe z tym dodatkiem, że od nich są trwalsze i żywsze, świetniejsze.

Po drugie farby Raffaelli'ego mają być w barwie trwalsze, bo zawierając w sobie tylko niezbędną ilość oleju, nie podlegają okwaszeniu, w skutek których obraz z czasem czernieje, a ponadto i z tego powodu, że ich zmieszanie nie wywołuje pono chemicznych połączeń, zmieniających aż nazbyt rychło pierwotne tony malowidła.

Czy fakt, że farba sucha czyni zbędnym istnienie pędzla, który od wieków był wiertnym pośrednikiem między myślą artysty a płótnem, jest w istocie tak wielkiej wagi? Czy naprawdę ma być tak znaczną korzyścią, tak znacznym ułatwieniem dla artysty ta możność dotykania się farby, zaznaczającej jego myśli?

Może być, że tak jest, choć nie wszystkim tak się zdaje.

Znam np. malarza Benedyktowicza, wszyscy go znają, który doskonałą techniką maluje świetnie odczute krajobrazy. Benedyktowicz, może nie wszyscy o tem wiedzą, ma od ramion ręce drewniane. Przywiązują mu do drzewa pędzel, a mimo to tłómaczy on wiertnie myśli i uczucia artysty.

Wyobrażam sobie, że przegrałby bitwę nawet wódz, posiadający krocie rąk, któremi mógłby popchnąć do ataku każdego swego żołnierza osobiście, gdyby nie miał prócz tego bagateli — tegiej głowy.

Pitsbury, Lasker czy d-r Tarasch nawet nie dotykając się figur, nawet nie patrząc na szachownicę, wygrywają świetnie, przepięknie kombinowane partye szachów...

Nie, nie, nie uwierzę, aby bezpośrednio zetknięcie się artysty z materiałem, z którego powstaje dzieło, miało być niezbędnym warunkiem do jego doskonałości — nie uwierzę dopóty, dopóki nie wynajdą sposobu, aby poeta bez trudu, bez wszelkich walk, bez mąk tworzenia, ot tak na poczekaniu, mógł ująć ręką z mózgu swego myśl, pełną czarów poezyi, pełną mocy nieśmiertelnego ducha.

Co do trwałości farb suchych, to trudna rada, mam coś w sobie, jak wielu ludzi, z „niewiernego Tomasza“ — nie uwierzę, że one blasków swych nie tracą, że obrazy malowane niemi nie czernieją, aż od chwili wprowadzenia w handel wynalazku Raffaelli'ego uplynie nie dwa lata, ale kilkanaście.

* * *

Niestrudzony pośrednik między nami, a sztuką Zachodu, pan Krywult, wystawił obecnie w swoim „salonie“ całą seryę obrazów, malowanych farbami Raffaelli'ego. Dzięki mu za to, bo widzieć dużo, znaczy wiedzieć dużo — on nam widzenie ułatwia.

Wchodzimy na wystawę: Pierwszy pokój — prace Raffaelli'ego. Pierwsze wrażenie — ach, jak tu świeżo, jak jasno! Wszystkie obrazy, czy najlepszy „Przedmieście“, czy „Domek zaciszny“, lub „portret“ jakiejś bladej Miss, mniej więcej w jednym kolorycie, ale za to jaki on delikatny, jaki naturalny. Gdy słońce pada na drogę wapienistą, to ona w istocie jest tak biała, jak na „Przedmieściu“ Raffaelli'ego. I mały domek w promieniach słońca taki czysty, jakby wymyty. I blade Miss w jasnym świetle dnia pewno taka alabastrowa, jak na obrazie, a nie inna. Czy to zasługa suchych farb? Pamiętam dużo obra-

zów, malowanych ciekłymi farbami olejnymi, które mają koloryt równie delikatny, równie jasny i czysty; niedaleko szukając, np. wystawiony niedawno w „Zachęcie“ piękny obraz Soter-Malachowskiego p. t. „Most zwierzyniecki.“

Drugi pokój — prace kilkunastu malarzy francuzkich, którzy suche farby powitali z entuzjazmem.

Szukam czegoś, coby było doskonalsze od tego, co dotąd tworzone ciekłymi farbami...

Bardzo ładne wnętrza p. Karola Cesbron, przyznaję, ale widziałem równie ładne i piękniejsze, malowane ciekłymi farbami.

Traktowane, jak rodzajowe obrazki, portrety Carrier-Belleus'a, bardzo wdzięczne, bardzo miłutkie. Z satysfakcyą można patrzeć na „Ulubienca“ i „Zmarłego ptaszka“, ale i z tych prac nie można wnioskować, jakoby farby suche były lepszymi od ciekłych.

I nie można wysnuć tego wniosku ani z dobrego obrazu Buchor'a, ani z doskonałych płócien Stacquet'a, ani ze znakomitego, godnego widzenia malowidła van Hollebeke'go: „Książd w swoim zaciszu.“

„Studyum“ p. Prouvé, ohydnie brzydka w liniach, zielono-prądkowana żółta kobieta, składa dowód, że zarówno farbami suchymi, jak i ciekłymi namaluje się zły obraz, jeśli się jest złym malarzem.

Być może, że farby Raffaelli'ego są ułatwieniem techniki malarskiej, ale to widza nie obchodzi — on nie pyta o ból tworzenia, ale o rezultat artystyczny bólu.

Z polskich malarzy używali już farb suchych Fałat, Rapacki i Kaufman.

Czy farby Raffaelli'ego czernieją, odpowie najlepszy sędzia — czas.

Spotkałem w tych dniach malarza-dyletanta bez talentu pana X.

— No, jakże tam z pańskim malowaniem?

— Kupiłem sobie farby Raffaelli'ego, ale jakoś z techniką nie idzie.

„Nie idzie z techniką“ — naturalnie, — technika, złe warunki pracy, czy złe materiały malarskie, to bagatela, to nie przeszkoda — jeśli się ma talent.

Gilbert.



Jan Stanisław Mar.

BLADA JESIEŃ.

SZKIC DRAMATYCZNY W 1-ym AKCIE.



(Dokończenie).

SCENA V-ta.

Helena po chwili Stefan, Wirski i Witold, przez chwilę scena próżna.

Helena (w lewej kulisie na przodzie sceny)

Więc powiadacie, żeście tych panów przywieźli tu? (Wychyla się do połowy i rozgląda ostrożnie)

Głos woźnicy.

A przywiózem tu dwóch panów z kolei. Jeden to je właśnie ten młody dochtór z Warszawy.

(W głębi werandy ukazuje się Wirski, częstujący Stefana cygarami).

Stefan (we drzwiach)

Niech pan sobie nie przeszkadza, ja tu sam wypalę, nie chcę tam, bo dym szkodzi panie Janinie.

Wirski (znika w pokojach)

Stefan (zchodzi wolno ze stopni, spostrzegłszy Helene, która wyszła z kulis, staje, jak rażony. Po chwili) Pani tu? Po co? Zkąd?...

Helena (silnie wzburzona)

Mniejsza o to... Panie Skarski, ja muszę widzieć tę pannę Wirską... Wiem o wszystkim: byłam dzisiaj u Witolda i zastałam u niego profesora Karwickiego, który mimowoli zupełnie mnie oświecił... Widzi więc pan, że żadne obalamucania do niczego nie doprowadzą. Karwicki powiedział wszystko...

Stefan (usuając ją na stronę)

Więc powiedział też pani prawdopodobnie, że panna Wirska jest suchotnicą, której życie można obliczyć na tygodnie...

Helena.

Powiedział, ale jednak ja widzieć ją muszę. (stara się dostać na werandę).

Stefan (odciąga ją i chwyta za rękę).

Panno Heleno, niech się pani opamięta!...

Helena (chaotycznie)

Ja się opamiętać nie mogę!... Karwicki wygadał się... mimowoli... Ja wiedziałam, bo mi Wilold mówił, że jeździł z nimi do Włoch, ale o niej wspominał mi, ot tak sobie, pobieżnie, lekko... dopiero Karwicki otworzył mi oczy na wszystko, zaczął mi ją wychwalać: a taka piękna, taka niezwykle piękna, taka czysta, bogata natura!— to miała być opinia Witolda o niej... Mówił mi nawet o entuzjazmie, z jakim doktor Marchwicz wygłasza, te panegiryki, słowem, nie wiedząc, co mnie łączy z Witoldem, powiedział wszystko, wszystko! I właśnie dlatego opamiętać się nie mogę, bo całą wolę skierowałam na to, żeby przy Karwickim nie wybuchnąć płaczem!... A pan mi się każe hamować!

Stefan.

Więc czego pani chce? W jakiej roli pani tu występuje?

Helena.

W jakiej roli? (z naciskiem) W roli narzeczonej doktora Marchwicza.

Stefan (hamując ją wzrokiem)

Ale to jeszcze nie usprawiedliwia wizyty pani w domu ludzi, których pani zupełnie nie zna.

Helena (j. w.)

Panie Skarski, dlaczego pan teraz wygłasza podobne sentencje?... Panie, każdy mój krok, nie bacząc, jakim on będzie, jest wytłumaczony miłością moją i tem, co uczyniłam dla Witolda!.. Zresztą, ja sobie nic nie tłumaczę nie umiem i nie chcę, nie chcę sobie tłumaczyć!... Co mnie obchodzi pan Wirski, co mnie obchodzi choroba panny Wirskiej!... Nigdy zresztą nie miałam nic wspólnego z konwenansami i bon tonem!...

Stefan (j. w.)

Tu nie o konwenanse chodzi... Czy pani wie, że chce pani popełnić zabójstwo?... Że...

Helena (j. w.)

A pan czy wie, że ja bronię się także od śmierci? Że do tego, co czynię, pcha mnie tylko instynkt samozachowawczy?... Pan zna mnie nie od dzisiaj, wie pan, że we wszystkim, co kiedykolwiek czyniłam, duszę kładłam,

całą duszę! Dzisiaj włożyłam ją niepodzielnie w miłość dla Witolda, i dziś mi tę miłość chcą odebrać!... I pan wobec tego zwywa mnie do spokoju, do równowagi!...

Stefan.

Panno Heleno, z chwilą, kiedy panna Wirska zobaczy panią i domysli się celu jej nagłego przyjazdu, umrzeć może, bo tego rodzaju wzruszenie zabije ją na miejscu. Panno Heleno, panno Heleno, niech się pani zastanowi, co pani chce uczynić?!...

Helena.

Więc ona go kocha?!

Stefan.

Niech będzie i tak. Ale ja, jako najbliższy przyjaciel Witolda zapewnić panią mogę, że pani jedna, rozumie pani, pani tylko posiada jego miłość, że dla panny Wirskiej ma on jedynie uczucie przyjaźni i litość, jakaby i pani miała, gdyby zobaczyła dziewczynę, która nigdy nie zaznała młodości, bo już kolebka jej stała nad grobem.

Helena (jak gdyby nie słyszawszy słów jego)

O, Boże, Boże!... A ja mu tak ślepo wierzyłam! Nie zawahałam się przed niczem, spełniłam dla niego największą ofiarę, jaką kobieta spełnić może...

Stefan.

Zapewniam panią, że Witold w niczem nie zdradził pani zaufania, że panią tylko kocha.

Helena (po chwili pauzy)

Dobrze... Ale ja muszę to usłyszeć z ust jego, tutaj zaraz... Doktorze, ja nie ustąpię... (chowając się w tylnej lewej kulisie) Tu zaczekam i pan mi przysze Witolda.

(Janina wstała od fortepianu i razem z Witoldem zniknęła w głębi. Jednocześnie na progu werandy ukazuje się Wirski, a po chwili Witold).

Wirski (do Stefana)

Jakże smakuje cygaro?

Stefan (stara się zatrzymać go u progu)

Bardzo dobre, bardzo dobre...

Wirski (do Witolda, który nadszedł z głębi mieszkania)

To możeby i pan zapalił?

Witold.

Nie, dziękuję panu, nie mam jakoś chęci.

Stefan (daje Witoldowi znak, żeby się zgodził na propozycję Wirskiego)

Witold.

Albo, zresztą...

Wirski.

W tej chwili panu służę. (znika w głębi mieszkania)

Stefan.

Jest tu Helena.

Witold.

Coo?!

Stefan (szybko)

Dowiedziała się przypadkowo od Karwickiego, wie wszystko i przyjechała, musisz z nią pomówić, czeka tam... Obawiam się skandalu... Masz teraz nastrój, pyszny, co?... (Wirski zbliża się) Poczekaj, przetrzymam starego, a ty rozmów się z nią.

Wirski (podając pudelko z cygarami Witoldowi)

O, te jaśniejsze, pan nie lubi mocnych.

Witold (bierze pierwsze z brzegu)

Wirski.

Ale nie te, o z tych, będą słabsze.

Witold (w roztargnieniu bierze i drugie)

Stefan (do Wirskiego)

Proszę pana, chciałbym przejrzeć raz jeszcze te recepty... A gdzie panna Janina?

Wirski (w progę)

Zdaje się, że u siebie w pokoju.

Wirski i Stefan (wchodzą w głąb domu, zostawiając drzwi werandy otwartymi).

SCENA VI-ta.

Helena, Witold, po chwili Janina.

Helena (wychodząc z prawej kulisy)

Więc tak wyglądają twoje przysięgi, twoje zapewnienia, twój bezmiar miłości! Tak wygląda to zrozumienie mojej ofiary, o którym mi tak ładnie deklamowałeś!

Witold.

Helu, przestań, nie zabijaj dziewczyny, która i tak stoi już nad grobem.

Helena.

Przecież nie powiesz mi, żeś przyjechał do niej ze zwykłą doktorską wizytą!

Witold (spiesznie)

Słuchaj, Hela, tu nie można rozwodzić się... Wiesz, że cię kocham, czujesz to najlepiej sama, ale odjedź, odjeżdżaj już... Ja nie chcę, żeby trup tamtej stanął pomiędzy nami, nie chcę tego, a tak będzie, jeżeli natychmiast nie odjedziesz... Helu, boję się tej okropnej myśli... przecież ja już popełniam zbrodnię, bo jako lekarz skłoniłem ją do wyjazdu, nie będąc pewny, czy nie zamrze w drodze... Heluś, jedź, jedź już... bo gdyby cię ona... Pamięć tej chwili odtrącałaby mnie od ciebie zawsze...

(Na werandzie przed chwilą ukazała się Janina i stanęła w progę. Gra mimiczna).

Witold.

Jedź już... Ona cię widzieć nie może... Jutro będę obok ciebie, a za miesiąc będziesz moją, moją na całe życie!

Helena.

Pamiętaj, ty jesteś moje wszystko!... Więc ona...

Witold.

Ja mam dla niej tylko litość, jak dla nieszczęśliwej, skazanej na pewną śmierć suchotnicy... Ona nam przeszkadzać nie będzie...

Janina (która podczas ostatnich słów Witolda starała się stłumić zbliżający się paroksyzm, wybucha nagle gwałtownym kaszlem i pada sztywna i bezwładna na stojący na werandzie tuż obok drzwi fotel. Witold biegnie ku niej przerażony. Helena osłupiałym wzrokiem patrzy na chustkę krwią zbrozoną, którą Janina padając, upuściła na ziemię).

Zastona spada.



KWIATY I CHWASTY.



Książki o Japonii. — Książka o Mandżuryi. — „Wizje przyszłości“ Wells'a. — „Wiedza tajemna“ St. Radziszewskiego.

Nie mamy powodu skarżyć się na brak książek o Japonii. Aż trzy rzuciła „aktualność“ na nasz rynek księgarski. Dwie z nich: „Japonia“ Wilhelma Doppinga i „Społeczeństwo japońskie“ Andrzeja Bellessort'a wydała „Biblioteka dzieł wyborowych“, trzecia „Japonia“ Z. Kłóśnika, wyszła nakładem Towarzystwa wydawniczego. Najwięcej zajmuje nas trzecia, jako dzieło oryginalne.

P. Kłóśnik rozpoczyna swój obraz charakterystyką krajobrazu japońskiego. Jedną z ogólnych cech krajobrazu japońskiego jest „powikłanie linii.“ Pole japońskie — to mozaika najrozmaitszych kultur, przerywana tu i ówdzie bukietami drzew, wśród których usadowiły się wioski. Wszystkie plantacje, pokawałkowane na mnóstwo małych działek, krzyżują się, płaczą w zygzakach, stosownie do kaprysów terenu i potrzeb uprawy. Główną oryginalnością krajobrazu japońskiego jest jego wypukłość. Grzbiety gór, cypłe urwistych ścian, wylaniają się nagle, śmiało, ukazując całą swoją rzeczywistość, całą świeżość, całą dziewiczość swoich linii.

Po za swoim naturalnym układem, dużo swego wdzięku zawdzięcza krajobraz japoński powietrzu, w którym się kąpie. Jest ono przejrzyste, jak kryształ, co nadaje wszystkim liniom przezroczystość, wszystkim formom wypukłość, wszystkim barwom blask szczególny. Nawet wielkie, ciężkie chmury, przybierają na niebie japońskim jakby wyrzeźbione formy. Ta krystaliczna przezroczystość zmniejsza do tego stopnia odległość, iż zdaje się, że widzi się zbocz pokrytą łąkami trawą, a to są lasy rdzawo zabarwione jesienią. Wyobrażając sobie przedmioty bliżej, niż są w istocie, wyobrażamy je sobie mniejszemi i to złudzenie optyczne daje wsi japońskiej wygląd miniatury, który narodowi artyści na fajansach lub na lakach tak wiernie potrafił oddać.

Wielkim wdziękiem krajobrazu japońskiego są także jego drzewa, ogromne, wspaniałe, powykrzywiane oryginalnie.

Natura japońska jest naturą artystyczną. Żadna nie została lepiej stworzoną ku udzieleniu człowiekowi natchnienia, żadna nie nadaje się lepiej do sztuki. Krajobraz japoński, — to malowidło; las — to park; wieś nawet jest ogrodem, a wzgórza zdają się być stworzonymi dla wznoszących się na nich pagód, dla zdobiących ich stoki świątyń.

Odtworzywszy krajobraz japoński barwnie i plastycznie, p. Kłóśnik naszkicował ostre konturami przeszłość historyczną Japonii. Przeszłość to daleka, bo sięgająca w czasy przed-Christusowe, i burzliwa, bo przesiąknięta krwią licznych wojen. Powtarzanie wielkiego mnóstwa dat i nazwisk, które do nas, Europejczyków, nic nie mówią, nie miałyby celu. Wystarczy zaznaczyć, że Japonia była przez szereg wieków, aż do czasów najnowszych państwem feodalnym, rządzone nie przez dom panujący, lecz przez rodzaj majordomów, przez t. zw. szogunów. Ten wielowieczny porządek rzeczy zmienił się nagle. Dokonała tego rewolucja z roku 1868-go, która pchnęła Japonię na tory zupełnie inne, niespodziewane.

Europa była świadkiem szczególnego widowiska. Naród azjatycki, znany ze swojej wyłączności, nienawidzący wszystkiego, co obce, co nie japońskie, spoglądający z pogardą na „kulturę białych barbarzyńców“, przyswoił sobie dobrowolnie, przyjął tę kulturę, ukorzył się przed nią. Nikt go do te-

go nie zmuszał, ani zwycięzki zdobywca, ani utrata swobody. Zrozumiał, że owi „białi barbarzyńcy“ nie próżnowali przez szereg wieków, że stworzyli kulturę bogatą, z której warto korzystać, przyswoił sobie z niej wszystko, co uważał za pożyteczne. Proces ten dziwny odbył się tak szybko, z takim pospiechem, że nie mógł oczywiście ogarnąć całego społeczeństwa. Dwa porządki: dawniejszy i obecny, kłóca się w Japonii jeszcze ciągle z sobą, inaczej być nie może. Japonia ma dotąd oblicze dwoiste.

To zcieranie się dwóch porządków, miniego i rozkwitającego, zcharakteryzował p. Kłóśnik bardzo dobrze w rozdziale p. t.: „Światła i cienie.“ Właściwa oryginalność Japonii polega na tem — mówi Ballet — że posiadając dar przyswajania sobie tego wszystkiego, co przychodzi do niej z zewnątrz, czyni to bez zatury swojego ducha narodowego, że po trzydziestu przeszło latach wysiłków, może słusznie rościć sobie pretensje do tytułu narodu bardzo postępowego, który jednak nie wyrzekł się swojej dawnej poezji, swoich starych zwyczajów i tradycji. Każdy Japończyk, do jakiegokolwiek świata należy, posiada dwie indywidualności, składa się niejako z dwóch ludzi — nowoczesnego, po europejsku ucywilizowanego i dawnego, przejętego duchem przodków.

W dalszym ciągu rozbiiera p. Kłóśnik po szczególe wszystkie formy życia japońskiego: parlament, prasę, więzienia, teatr, taniec, życie miast, rolnictwo, przemysł, handel, szkoły, armię, flotę, stosunki religijne, życie rodzinne, sztukę, literaturę. W ten sposób stworzył pełny obraz tego dziwnego narodu, który wysunął się w ostatnich czasach na pierwszy plan historii współczesnej.

I Mandżurya jest dziś „aktualną“ i ten szmat ziemi warto bliżej poznać. Ułatwił to nam p. Wiktor Doleżan książką p. t. „Mandżurya, opis kraju i ludzi“, wydaną przez „Bibliotekę dzieł wyborowych.“ Jest to kompilacja, oparta na podstawie najlepszych źródeł, ale kompilacja dobra, opracowana sumiennie.

Z systematycznością uczonego, przywklego do porządnej roboty, ułożył p. Doleżan materyał w obraz przejrzysty. Charakterystykę Mandżuryi rozpoczął od poglądu na jej położenie geograficzne. Następnie rozpatrzył wszystko, co się składa na pełny obraz danego kraju: klimat, stosunki geograficzne, historię, florę i faunę, przemysł i handel, topografię. Osobny rozdział poświęcił zajmującemu obecnie Europejczyków najwięcej półwypowi Liao-Tung z Portem Artura i Dalnym.

Od czasu do czasu odzywają się w literaturze europejskiej różne głosy, wizje, przepowiednie przyszłości, różne marzenia o tem, co będzie jutro, za lat sto i dalej. Przyszłość jest dla oka ludzkiego zakryta, — wiadomo, — ale dziwić się nie można człowiekowi, że chciałby uchylić zasłony, po za którą się owe tajemnicze jutro ukrywa. Wszakżeż nawet zkądnąd intelligentni ludzie nie wstydzą się siadać do wirującego stolika, aby wydrzeć duchom tajemnicę przyszłości, lub słuchać z udanym uśmiechem ironicznym na ustach, a właściwie z głębokim skupieniem bredni karciarek i cyganek.

Znalazł się znów w Anglii wróżbita literacki, który przepowiada, co będzie w najbliższej przyszłości. Nazwisko jego U. G. Wells, a tytuł jego dzieła, przyswojonego naszej literaturze przez p. Jana Kleczyńskiego, „Wizje przyszłości.“

Są wypadki, które można przepowiedzieć, jeżeli się umie z pewnych, istniejących danych wysnuć wnioski logiczne. Historia jednak zadziwia czasami niespodziankami, których najprzenikliwsze oko nie odgadnie.

Na to, co Wells mówi o komunikacji

w wieku XX-ym, można się zgodzić. Nie potrzeba być wróżbitą, aby rozumieć przyszłość samochodów. Dotąd jest to jeszcze wehikuł bardzo niedokładny i niebezpieczny. Co chwila czytamy w gazetach, że ktoś gdzieś wyleciał z samochodu i połamał sobie żebra lub zgoła kark skręcił. Ale i koleje żelazne, zanim weszły na dobre w ruch, pochłonęły mnóstwo ofiar, a i dziś jeszcze bywają bardzo częste tragiczne wypadki na kolejach.

Wydoskonalony samochód zastąpiłby z czasem bardzo dobrze kolej żelazną, zwłaszcza gdyby się budowa dróg do niego zastosowała, gdyby powstały takie drogi, na którychby się automobil mógł swobodnie, bez żadnych przeszkód poruszać. Ten rodzaj przenoszenia się z miejsca na miejsce znalazłby niewątpliwie licznych zwolenników, jest bowiem wygodniejszy i przyjemniejszy. Samochód trzęsie mniej od wagonu kolejowego, pozwala podróżnemu zatrzymać się, wysiąść, gdzie mu się podoba, nie wyrzuca z siebie owych kłębow dymu, które, buchając z kominów lokomotyw, weiskają się do wagonów kolejowych.

Drugą przepowiednię Wellsa, gdyby się sprawdziła, powitaliby niewątpliwie wszyscy, którym życie wśród miejskich murów obrzydło, z wielką radością. Zdaniem jego wyludnią się w XX-ym stuleciu wielkie miasta na korzyść miasteczek i wiosek, które wiek XIX-ty skrzywdził.

Nadzwyczajny wzrost wielkich miast był w istocie najbardziej charakterystycznym zjawiskiem stulecia XIX-go. Nigdy nie było tyle i tak olbrzymich zbiorowisk ludzkich, jak w wieku ubiegłym. Przeszłość zna milionowych miast zaledwie trzy: stolicę Chin, Babilon i Rzym za imperatorów, a wiek XIX-ty stworzył takich potworów dwadzieścia. Te olbrzymie mrowiska ludzkie rozsypią się, zdaniem Wellsa, porozlażą się po całym kraju. Ludzie wrócą, zkąd wyszli, na wieś, do słońca, do powietrza, do ogrodów i lasów. Tę wędrówkę ułatwi zwiększenie się ilości mechanicznych środków przewozowych.

Nie wszyscy jednak zgodzą się chętnie na to, co Wells mówi o przyszłym ukształtowaniu się społeczeństwa, bo nie wszyscy chcieliby zostawać pod samolubnymi rządami kapitalistów, którym angielski wróżbita oddaje berło najbliższej przyszłości.

Przez czterdzieści wieków w całym świecie wszystkie wyżej rozwinięte społeczeństwa, pomimo powierzchownych różnic, miały wiele wspólnych cech. Podstawę gmachu społecznego tworzył wszędzie rolnik; on żywił całą ludzkość. Kto posiadał ziemię (aż do końca XVIII-go stulecia wojownik, szlachcic) ten rządził, rozkazywał.

Lichwa, stowarzyszenia komandytowe i system towarzystw akcyjnych, które powstały i rozwinęły się w wieku XIX-ym, otworzyły pieniądźowi upusty niebawale i wytworzyły nowy rodzaj posiadania i nową klasę właścicieli.

Posiadanie akcyi daje w rękę majątek, którego właścicielem można być na odległość i który daje dochody bez żadnych zabiegów osobistych. Jest to rodzaj własności biegunowo przeciwny dawniejszemu.

Tej nowej kaście właścicieli (kapitalistom), rekrutującym się ze wszystkich sfer, niepracujących i nie poczuwających się do żadnych obowiązków, wróży Wells ciągły wzrost we wpływy i znaczenie. Zajmą oni miejsce potomków dawnego rycerstwa, do wzrostu ich przyczynił się najwięcej rozwój mechaniki, która spycha pracę ludzką na drugi plan, wytwarzając nieznanym dawnemu porządkowi pauperyzm.

Z kapitalistami podzielią się z czasem, według Wellsa, rządami ludzkości ich bezpośredni pomocnicy — inżynierowie i mechani-

cy w rozumieniu najszerszym, którzy zastępują swoją wiedzę mniej lub więcej do potrzeb rosnących kapitałów.

I nie wszyscy zgodzą się na „przyszłego człowieka“ Wellsa. „Porywy uczuciowe lub skierowane w dziedzinę mistycyzmu będą musiały być podporządkowane rozumowi, lub zupełnie nie istnieć. Jeżeli zmysły mają odgrywać jaką rolę w życiu przyszłego inteligentnika, to stanie się to bez żadnego wyrafinowania, które wywołuje uczucie lub mistycyzm; każdy z nich ożeni się, ponieważ wierzyć będą wraz ze świętym Pawłem, że „lepiej jest ożenić się, niż spłonąć.“ Małżeństwo będzie po prostu ustępstwem na rzecz ciała, aby utrzymać je przy zdrowiu i w ogóle w dobrych warunkach życia.

Zbyt często słyzy się w „wizjach“ Wellsa echa epoki już zamkniętej, aby mogły być wizjami przyszłości. Słyszymy w nich ciągle echa marzeń i doktryn Renana, Malthusa, Darwina, Spencera, ościeramy się ciągle o pojęcia, uważane już dziś w pewnej części za przestarzałe. Wells stoi dotąd na stanowisku racjonalistycznym, co przejawia się najwyraźniej tam, gdzie potraça o wpływ uczucia na życie ludzkie (małżeństwo, stosunek jednostki do bliźnich).

Wells wyklucza z najbliższej przyszłości „uczucie i mistycyzm,“ jako zwiędłe przeżytki przeszłości. Jedyny tylko rozum ma być kierownikiem postępowania ludzkiego. A tymczasem wracają „uczucie i mistycyzm“ wszystkimi szczelinami do literatury i życia.

Wypędzić raz na zawsze chciał rozum drugiej połowy XIX-go stulecia, który był prawowitym dzieckiem racjonalizmu XVIII wieku, z marzeń i wrażeń ludzkich uczucie, fantazję i intuicję, a te upiory wracają w formach dziwacznych. Spirytyści, teozofowie, okultyści, symboliści stanęli obok starzejących się pozytywistów. Jak kiedyś, około roku 1853-go nasze babki i matki siedziały przy wirujących stolikach i wywoływały „duchy,“ porozumiewając się z nimi za pomocą ekierok i alfabetów, tak czynią dziś to samo nasze żony i siostry, nasi kolledzy i przyjaciele. Nawet ludzie wysoko wykształceni, nawet mężowie trzeźwi, wychowani we wstręcie do wszystkiego, czego nie mogli zmysłami osiągnąć, ulegli temu zabobonowi.

Spirytyzm ostatnich czasów przyszedł do Europy z Ameryki, z kraju *business'u* i wszelkiej trzeźwości, praktyczności.

W Grudniu 1847-go roku osiadła w wiosce Hydesville, w hrabstwie Wayne, w Ameryce północnej, rodzina kolonistów pochodzenia niemieckiego nazwiskiem Fox (Voss). W kilka dni po objęciu domu usłyszeli nowi mieszkańcy stukania w ścianę i w podłogę. Zjawiska te powtarzały się, rosnąc, przybierając w końcu rozmiary niezwyklej wrzawy. Ktoś niewidzialny wprawiał w ruch sprzęty, chodził, głaskał dzieci zimną ręką po twarzy i t. d. Działo się to głównie w obecności małej Kathie Fox, która przywykła z czasem do tego stopnia do nieproszonego gościa, że rozmawiała z nim bez żadnej obawy.

Kiedy wieść o tych dziwach doszła do władzy świeckiej i duchownej, oddano rodzinę Fox'ów pod nadzór „osób światłych i usposobionych sceptycznie.“ Trzy jednak komisje złożone z obywateli miasta Rochester, potwierdziły po dokładnym zbadaniu zjawisk ich rzeczywistość, oświadczając, iż przyczyn ich wykryć nie mogą.

Taki jest początek współczesnego spirytyzmu.

Z drobnego źródła wytrysnął potok szumiący, który zalał wkrótce prawie całe Stany Zjednoczone. W roku 1851-ym zawiązało się w Nowym-Jorku pierwsze stowarzy-

szenie spirytystyczne, składające się z sędziów, senatorów, lekarzy i duchownych; w trzy lata później połączyło się drugie grono osób w celu „badania zjawisk, niedostępnych dla zwykłej nauki.

Do Europy przybył spirytyzm w r. 1852-m, nasamprzód do Szkocji, potem do Wielkiej Brytanii, Niemiec i Francji. Ponieważ jednak równocześnie zaczęły się w Europie rządy pozytywizmu i rewolucjonizmu, nie zwróciła nauka urzędowa uwagi na gościa za oceanowego. Dopiero, kiedy rozum niezawisły zaczął znów tracić urok, pod koniec XIX-go stulecia, przypomniano sobie „objawienie amerykańskie.“ Teraz zaczęli się zabawiać w eksperymenty spirytystyczne nawet mężowie nauki, mający po za sobą długi szereg lat, spędzonych w służbie niezawisłego rozumu. Wiadomo, że w „komunikację duchów“ uwierzyli, między innymi, znany astronom niemiecki, Fryderyk Zöllner, professor uniwersytetu lipskiego, przyrodnik angielski, Alfred Russel Wallace, niegdyś współzawodnik Darwina, rozgłośny chemik londyński William Crookes, i zdolny lekarz paryzki, Paweł Gibier. U nas zajmowali się spirytyzmem z zamiłowaniem Julian Ochorowicz i malarz Henryk Siemiradzki.

Z chwilą, gdy do spirytystów przystali ludzie, przywykli od lat najwcześniejszych do krytycznego rozpatrywania wszelkich zjawisk, zwróciło „objawienie“ wieśniaczek amerykańskich na siebie uwagę kół szerokie. Sprawa, której tacy Wallace'owie, Crookes'owie, Zöllnerowie poświęcają czas drogocenny, nie może być tylko urojeniem lub kłamstwem oszustów i głupców.

Alfred Wallace, równocześnie z Darwinem, twórcą teorii o pochodzeniu gatunków, był, jak się sam przyznaje, do niedawna „materyalistą tak przekonany, iż nie znalazłby w swoim umyśle miejsca na koncepcję istności duchowej lub jakichkolwiek w świecie działaczy innych, oprócz materii i siły... A mimo to oświadczył później, że doszedł „na drodze ścisłej indukcji“ do wiary w istnienie pewnej liczby umysłowości nadludzkich rozmaitych stopni i w możność oddziaływania tych istot niewidzialnych na materię i na umysł.

Twierdzenie Wallace'a przeczy wprost zasadom czystego rozumu, ale właśnie to niespodziewane przeczenie jest treścią współczesnego okultyzmu. Zbuntowawszy się przeciwko nauce niezawisłej, wrogiej wszelkim t. zw. nadprzyrodzonościom, zamkniętej w ciasnym kółeczku obserwacji zmysłowych, spirytyści usiłują rozszerzyć granice wiedzy ludzkiej, włączając do niej zjawiska, uważane dotąd za niepochwytne. Jest to złudzenie nowe, nieświadome oklamywanie się, świat bowiem, nieprzystępny dla zmysłów, nie podlega badaniu krytycznemu. „Uczeni“ spirytyści nie chcą się poprostu do tego przyznać, że ich zdobycze rozumu nie zadawalają, że serce ciągnie ich do swych krain tajemniczych, gdzie rozum ludzki traci znaczenie i dlatego wmawiają w siebie i innych, iż „rozszerzają granice wiedzy ludzkiej.“

Pisano u nas i drukowano swojego czasu dużo o spirytyzmie, okultyzmie i t. d., były to jednak głównie przekłady dzieł obcych lub artykuły informacyjne. Oryginalnego dzieła, pełnego szkicu wiedzy tajemnej w ogóle doczekaliśmy się dopiero teraz. Napisał je i wydał d-r St. Radziszewski p. t. „Wiedza tajemna.“

D-r Radziszewski zwraca we „wstępie“ słusznie na to uwagę, że stopniowo rozkład uczuć religijnych rozpoczyna się już z humanizmem. Co humanizm zaczął, reformacja Lutra dalej prowadziła, a Voltaire i encyklopedyści rozpowszechnili w całej Europie, to wykończyła ostatecznie wiedza po-

zytywna XIX-go stulecia. Nadzwyczajny rozwój nauk przyrodniczych przekształcił z gruntu dziedzinę poznania ludzkiego. Wszystko, czego nie można było dowieść w drodze czystego rozumowania, popartego doświadczeniem, przestało być prawdą. W takiej chwili, w chwili wszechpotęgi kierunku naturalistycznego, panowania rozumu, zaniku wiary w cuda i w zjawiska w ogóle nadzwyczajne, wydaje się powrót do wiedzy tajemnej bardzo dziwny. Aby zrozumieć ten powrót, trzeba poszukać klucza do tej zagadki. D-r Radziszewski szuka tego klucza, odtwarzając obraz wiedzy tajemnej.

Trzy rozdziały poprzedzają właściwy obraz wiedzy tajemnej. W pierwszym określa autor podstawy wiedzy ścisłej, w drugim zastanawia się nad rozumem i uczuciem, trzeci poświęcił cudom. Przygotowawszy sobie w ten sposób grunt, przeszedł do „zjawisk jeszcze niedokładnie zbadanych.“ W dalszym ciągu odsłonił przed czytelnikiem tajemnice fakirów, nauki braminów, spirytyzmu, magii i kabały, w końcu przypomniawszy tajemne towarzystwa przeszłości.

Dzieła tego rodzaju muszą być w pewnej mierze kompilacyami, gdyż muszą się posługiwać istniejącymi już źródłami. Lecz można korzystać z istniejącego już materiału udolnie i nieudolnie, co zależy od mniejszego lub większego daru przejrystego porządkowania i układania w całość jednolitą stwierdzonych już dokumentów. D-r Radziszewski zdaje sobie dokładnie sprawę z celu przedsięwziętego zadania, panuje nad bogatym materiałem, mówi wszędzie tylko tyle, ile potrzeba i buduje pewną ręką.

Lecz i kompilacje mogą być dziełami oryginalnymi, jeżeli autor cudzy materiał po swojemu ustawi i promieniami własnej duszy oświeci. W „Wiedzy tajemnej“ d-r Radziszewskiego widać wszędzie, że mierza do swojego własnego celu, że ma o okultyzmie swój własny, wyrobiony pogląd, że wszechmiar słuszny i rozumny.

Teodor Jeske-Choiński.



Kronika działalności kobiecej.



— Od dawna już obmyślona, zapowiadana, a tak bardzo u nas potrzebna racjonalna szkoła dla sług, przestanie nareszcie być zapowiedzią tylko i projektem i wkrótce już rozpocznie swą pożyteczną działalność.

Grono pań, do którego przylączył się liczny zastęp młodych panien, z niezmordowaną gorliwością zabiegając o urzeczywistnienie opracowanych przez siebie projektów, uzyskało pozwolenie odnośnej władzy i dziś krząta się już około znalezienia najodpowiedniejszego pomieszczenia dla wyżej wzmiankowanej szkoły. Pomieszczenie takie znajdzie się zapewne łatwo, albowiem wydane też będą o tem ogłoszenia, ale pomieszczenie i pozwolenie władz, to jeszcze nie wszystko. Szkoła dla sług—to instytucja, którą zaopatrzyć we wszystkie potrzebne sprzęty i narzędzia jest rzeczą kłopotliwą i nader kosztowną. Pranie, prasowanie wymaga innych sprzętów, gotowanie innych i to, wiadomo jak bardzo w racjonalnie i czysto urządzonej kuchni rozmaitych i licznych. A ponieważ szkoła będzie musiała mieć dochody i przy niej urządzona będzie restauracja, jak również do szkoły przyjmowaną będzie bielizna do prania, można sobie wyobrazić, że szczupły fundusz, jakim na razie Zarząd szkoły rozporządza, wystarczyć nie może. Zważywszy jednak, że szkoła dla sług jest instytucją żywo cały nasz ogół obchodzącą, że od tak dawna wyczekiwano jej

z upragnieniem, aby raz nareszcie, choć w dalekiej przyszłości wyleczyć się z bolączki, jaką jest u nas wiecznie brak dobrych, od podstaw kształconych sług, Zarząd szkoły śmiało odwołuje się do ofiarności publicznej o pomoc w tak słusznym a tak trudnym do wykonania przedsięwzięciu. Ofiary tak w pieniądzech, jak i w naturze (najskromniejsze przyjmowane będą z wdzięcznością) przyjmuje Zarząd przyszłej instytucji, mieszczącej się tymczasowo przy szwalni III-ej, Marszałkowska 56.

— Anglia. Znany szeroko, Londyński dziennik, „Times,” wykazuje wiele ciekawych, statystycznych wyników z ostatniego spisu ludności w Anglii. Według tego spisu okazuje się, że w państwie Brytańskim znajduje się sześć zawodów, w których liczba pracowników żeńskich przeważa liczbę pracowników męskich. A mianowicie kobiety przeważają jako: nauczycielki, dozorcynie chorych, służące, dalej, jako pracownice w fabrykach tkackich, papieru i konfekcyi. W tych sześciu zawodach stosunek pracujących kobiet jest: $3\frac{1}{4}$ miliona na 1 milion mężczyzn. We wszystkich innych zawodach liczba mężczyzn przerasta wiele razy liczbę kobiet.

O działalności kobiet, jako inspektorek sanitarnych w Dundee podaje „Scottish Liberal Women's Magazine” bardzo zajmujące sprawozdanie. Inspektorki sanitarne, powołane do swych czynności w Dundee w 1903-im roku, zwiedziły 12,828 mieszkań, to znaczy, że w dzielnicach zamieszkiwanych przez ludność ubogą, zwiedziły wszystkie domostwa. Zadanie inspektorek polega na tem, aby kobiety przyzwyczajając do czystości, poczucia wstydlivosti i koniecznej potrzeby przewietrzania kątów. Wiele mieszkań znalazły w najopłakawszym stanie zaniedbania: ściany pokryte brudem, brudne łózka, a raczej barłogi, okna nieotwierane nigdy, szczelnie zabite gwoździemi. I w takich to zapuszczonych kątach inspektorki zaprowadzały schludność i nieznaną tam nigdy staranność, a zaprowadzały je przy pomocy łagodnych perswazyi i rad z macierzyńską dobrocią wypowiedzianych. W niewielu tylko wypadkach uciekać się musiały do interwencji komisji sanitarnej i surowych policyjnych nakazów. — Wielką zasługę położyły sanitarne inspektorki w zorganizowaniu w wielu miejscach opieki nad małemi dziećmi. Przeszło w 200-tu domach znalazły one małe dzieci pozostawione bez żadnej opieki. Znajdywały dzieci, leżące na brudnej podłodze, albo w brudnych kołyskach z fiolkami, napełnionemi zimną, ocuchnącą wodą, lub kwaśnem mlekiem, nieco starsze zaś siedzące na zimnych, zaśmieconych schodach. Inspektorki zorganizowały rodzaj żłobków, to jest dzieci z kilkunastu lub kilkudziesięciu domostw gromadzą do jednej, czystej izby i tam, pod nadzorem wybranej przez inspektorki opiekunki pozostawiają przez czas nieobecności matek. Matki, wracające z wyrobku znajdują swe dzieci nakarmione, czyste i wyspane, starsze zaś, również posilone i czyste, bawiące się wspólnie z innymi, dostarczonymi przez inspektorki zabawkami. Inspektorki oddają nieobliczone usługi szkołom ludowym, dostarczając do nich dzieci, nawykłe już nieco do czystości i zdrowsze.

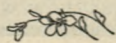
— Stany Zjednoczone. Wszechświatowy rekord pisania na maszynie zdobyła miss Marry Pretty, urzędniczka w patentowym biurze w Bostonie, która szybkość pisania doprowadziła do tego stopnia, że 22,000 słów wypisuje w ciągu 7-miu godzin.

Francuzka Republika obdarzyła orderem Legii honorowej panią Klarę Traverse z Colorado za jej czynny współdziałanie w utworzeniu „Alliance Francaise.”

— Chiny. Reformy i zmiany w wychowywaniu chińskich dzieci zaznaczają w ostatnich czasach coraz znamiennejsze postępy. W Wuchangu otwarte zostało seminarium dla nauczycielek, liczące odrazu 80 uczennic.

Czasopismo angielskie („Womans Journal”) donosi, że Miss Mary Reynolds z Sibley, ze stanu Indiana, otrzymała zawezwanie z Pekinu od cesarzowej-matki, z propozycją przyjęcia na siebie wychowania dwóch siostrzeńców, właściwie wnuków cesarzowej. Miss Reynolds propozycję przyjęła i w Październiku przenosi się na stały pobyt do Chin.

Z. S.



Nasz ul.



— Otrzymały z Petersburga № 114 A „Zbioru praw i rozporządzeń,” zawiera całkowite brzmienie ustawy Instytutu głuchoniemych i ociemniałych w Warszawie.

Instytut będzie pozostawał nadal w zawiadowaniu ministerium oświaty i będzie utrzymywany kosztem skarbu, tudzież z funduszków własnych.

Dyrektora Instytutu na przedstawienie ministra oświaty zatwierdza i uwalnia Najjaśniejszy Pan. Inspektora i nauczycieli wybiera dyrektor, a zatwierdza kurator Okręgu Naukowego. O nauczycielach zaś religii powiedziano: „Art. 11. Nauczycieli religii mianuje kurator Okręgu po porozumieniu się z właściwymi władzami. Nauczyciel religii rzymsko-katolickiej powinien należeć do duchowieństwa świeckiego. Art. 12. Nauczyciele religii, oprócz wykładu, odprawiają w Instytucie nabożeństwa i dzielą z nauczycielami obowiązek czuwania nad wychowancami.”

Sposób prowadzenia wykładów objaśnia art. 22: „Oddział głuchoniemych składa się z 8-iu klas równoległych z kursem rocznym. W jednych klasach równoległych wykład odbywa się w języku rosyjskim, w innych — w języku polskim. Oddział ociemniałych składa się z 3-ch klas ogólnie kształcących z kursem dwuletnim, i dwóch klas specjalnych z kursem dwuletnim.” Nadto w art. 47 nadmieniono: „Ministrowi oświaty służy prawo rozstrząśnięcia sprawy zaprowadzenia w oddziale ociemniałych wykładu w dwóch językach: rosyjskim i polskim, i złożenia wniosków swoich do zatwierdzenia w drodze prawodawczej.”

Do Instytutu będą przyjmowane dzieci głuchonieme i ociemniałe płci obojej wszelkich wyznań chrześcijańskich, należące do poddaństwa rosyjskiego i liczące nie więcej nad lat 10. Starsze dzieci mogą być przyjmowane o tyle tylko, o ile będą mogły wstąpić do właściwej ich wiekowi klasy. Na własny koszt mogą być przyjmowane dzieci wyznań niechrześcijańskich i poddaństwa obcego.

— Z okazji dwudziestoletniej działalności Stowarzyszenia pracowników handlowych, podjęto myśl wydania pamiętnika, opisującego powstanie i rozwój Stowarzyszenia. Redakcją pamiętnika zajął się zarząd, z pomocą przybranej komisji z pp. J. Dubowika, A. Pollacka, K. Hoffmana i L. Grendyszyńskiego. Pamiętnik sumiennie opracowany, pojawi się w początkach roku przyszłego.

— Zarząd Towarzystwa wzajemnej pomocy pracowników handlowych i przemysłowych ogłasza konkurs na najlepszy podręcznik w języku polskim, zawierający zasady korespondencyi handlowej z przykładami.

Warunki konkursu są następujące: 1) dzieło powinno być napisane przystępnie, aby mogło służyć nie tylko dla pracowników fachowych, ale i dla samouków. Szczególny nacisk kładzie się na zastosowanie technicznych wyrazów polskich. Podręcznik podzielony być winien na dwie części. Pierwsza obejmować winna ogólne zasady korespondencyi handlowej w zastosowaniu do wszystkich działów handlu, przemysłu i bankowości z uwzględnieniem prawa obowiązującego i zwyczajowego. 2) W części drugiej, podzielonej na odpowiednią ilość działów, poprzedzonych treściami wstępami, objaśniającymi teorię poszczególnych działów, winna być podana możliwie największa ilość przykładów w formie listów. 3) W końcu książki ma być umieszczony skorowidz, oraz słowniczek wyrazów technicznych, z podaniem skrótów, używanych w języku handlowym. 4) Podręcznik obejmować winien około 35 arkuszy druku. Z nagrody w summie 600 rubli, 200 wypłacone zostanie autorowi niezwłocznie po rozstrzygnięciu konkursu i 400 rubli po wydrukowaniu książki.

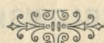
Rękopisy nadsyłać należy do dnia 1-go Grudnia r. 1905 do kancelaryi Towarzystwa przy ulicy Marszałkowskiej № 129.

— Kassa rolników i ogrodników warszawskich, postanowiła udzielić sześć zapomóg w ubiegłym półroczu dla swych członków, na opłacenie wpisowego na kształcenie dzieci w szkołach miejscowych. Każda zapomoga wynosi 25 rubli. Pierwszeństwo otrzymania jej przypada członkom mieszkającym na wsi, a pragnącym dzieci wychowywać w mieście. Podania o zapomogi przyjmować będzie kancelarya Kassy (ulica Złota № 24) do dnia 1-go Października r. b. Do podania winna być załączona ostatnia cenzura szkolna.

— W tych dniach powstało w Warszawie nowe przedsiębiorstwo oczyszczania ubrania i obuwia na ulicy. Przedsiębiorcy wysłali na 20 punktów miasta zręcznych i wyuczonych chłopców, zaopatrzonych w skrzynkę ze szczotkami, pomadą, szuwaksem i lakierem na usługi przechodniów. Za oczyszczenie ubrania płaci się 3 kop., obuwia 5 kop., za polakierowanie 10 kop. Przedsiębiorcy, pp. Skarżyński i Gałęziński, którzy sami nabywali fachu tego za granicą, mają nadzieję wykwalifikować zastęp zdolnych posługaczy, zapewniając im pracę i zarobek.

— Na katedrę profesora literatury polskiej w Uniwersytecie lwowskim po ś. p. Piotrze Chmielowskim, powołano prof. Józefa Kallenbacha. O instalacji we właściwym czasie podamy wiadomość.

— Dnia 4-go b. m. zmarł w Warszawie ś. p. Michał Józefowicz, jeden z najbardziej znanych i cenionych przedstawicieli prawa. Zmarły był wychowancem b. Szkoły Głównej i zajmował stanowisko rejenta przy kancelaryach hypotecznym, przez długi szereg lat ciesząc się uznaniem i sympatją. Obdarzony żywą i wybitną inteligencją, interesował się gorąco literaturą i sztuką. Ze ś. p. Włodzimierzem Płaskowskim, znanym humorystą, pozostawał w serdecznej przyjaźni i po jego śmierci wznosił pomnik na jego grobie i wydał zbiór jego utworów. Był miłośnikiem i znawcą malarstwa, zgromadził piękną galerię obrazów mistrzów polskich, wśród których znajduje się „Stańczyk” Matejki. Przez lat wiele był członkiem zarządu i skarbnikiem Towarzystwa Zachęty Sztuk pięknych, wiceprezesem Towarzystwa wzajemnej pomocy artystów i muzyków, ich wdów i sierot, nadto członkiem Archikonfraterni literackiej. Ś. p. Józefowicz był także właścicielem hotelu Polskiego w Warszawie i rezydentem letniej w Komorowie, gdzie życia dokonał w wieku lat 59.



Od Administracji.

Celem uniknięcia zwłoki w przesłaniu naszego pisma, upraszamy Szan. Prenumeratorki o wczesne wnoszenie przedpłaty na kwartał następnym.

Zwracamy przy tem uwagę, że dla uniknięcia wszelkich nieporozumień, najlepiej wysełać listy pieniężne bezpośrednio do Administracji „Bluszczu” (Nowy-Swiat, 41).

— Do niniejszego numeru dołącza się dla wszystkich prenumeratorów prospekt „Gazety Polskiej.”

Treść numeru:

Jad, powieść, przez Maryana Gawalewicza (ciąg dalszy). — Quodlibet (pogawędka), przez Quisa. — Szczęśliwy (wiersz), przez K. Laskowskiego. — Obrazy z przeszłości niewiast, przez Maryę Łopuszańską (ciąg dalszy). — Miliarderki. — Pogadanka o farbach, przez Gilberta. — Błada jesienią, szkic dramatyczny w 1-ym akcie, przez J. St. Mara (dokończenie). — Kwiaty i chwasty, przez Teodora Jeskechoińskiego. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Nasz ul. — Od Administracji. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 7-my „Robotnic w Stanach Zjednoczonych” Van Vorst'a, w przekładzie J. P.

Dodatek: do N-ru 37-go: Opis ubiorów i robót (rycyn 16). — Do N-ru 38-go: Opis ubiorów i robót (rycyn 26). — Przepisy kuchenne.



ORYGINALNE

maszyny do szycia Kompanji Singer, są niezbędne dla użytku domowego.
maszyny do szycia Kompanji Singer, są wzorowe w konstrukcji i wykończeniu.
maszyny do szycia Kompanji Singer, są niezrównane pod względem trwałości.

Strzeżcie się przed naśladownictwem.

GWARANTUJEMY TYLKO ZA TE MASZYNY, KTÓRE KUPIONE BĘDĄ W NASZYCH WŁASNYCH MAGAZYNACH.

Maszyny oddają się na spłatę po rub. 1 tygodniowo.
Bezpłatna nauka szycia i modnych artystycznych haftów.

KOMPANJA SINGER.

Wierzbowa 6, Mazowiecka 11, Marszałkowska 62, Chłodna 30, Praga—Targowa 32.
Przeszło tysiąc własnych magazynów w Państwie Rosyjskiem.



Wszystkie magazyny nasze posiadają znaki z niniejszą marką fabryczną.

Magazyny nasze posiadają powyższe znaki zatw. przez od. przem. i hand. M. F.



GŁÓWNY SKŁAD ŻYRARDOWSKI

w WARSZAWIE, KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE № 55.

Poleca na sezon jesienny:

Plótna, Stołową bieliznę, Ręczniki Chustki i t. p.
Wyroby pończosznicze
Bieliznę męską białą i kolorową
Flanele, Barchany, Materjały puchowe
Firanki, Dywany, Portjery, Kapy na łóżka, Pledy.
Koldry watowane, pluszowe, fianelowe i t. p.
Dreluchy na rolety i materace.
Oddział damskiej konfekcyi posiada w wielkim wyborze:
Bluzki, Szlafroczy, Peniuary, Spódniczki,
oraz **gotowe wyprawy od Rb. 100.**
Na zamówienie, bielizna stołowa z wrobionymi herbami i znakami.

Tylko przy pierwszorzędnej pracowni sukien można prędko i gruntownie nauczyć się kroju i szycia oraz nabrać gustu, dlatego, osobom interesowanym polecamy

Szkołę kroju i szycia

MICHAŁINY KOZŁOWSKIEJ

Mazowiecka 1, m. 4.

Kursy prywatne i cechowe oraz pensjonat dla przyjezdnych z najtroskliwszą opieką.
Ceny umiarkowane.

KURSY FREBLOWSKIE ze słoydem i rysunkiem

Zakład JADWIGI CHRZĄSZCZEWSKIEJ WARSZAWA, Nowy-Świat 21.
przyjmuje pensjonarki; Francuzka stale. Po skończeniu udziela świadectw, daje posady, lekcye.
Ceny przystępne.

Kroju wyucza gruntownie bez poprawek bardzo tanio najnowszym systemem teoretycznie i praktycznie w przeciągu 3—4 tygodni, właścicielka znanej firmy

„CHIC VARSOVIEN”

wykwintnej pracowni sukien wykwalifikowana krojczyni, dyplomowana przez Paryską Akademię Mistrzów Krawieckich. Zgoda 6.

Specjalny Magazyn Bielizny i Konfekcyi Damskiej

L. GAŁKOWSKIEGO

138. Marszałkowska 138.

Poleca bieliznę w wielkim wyborze, jako też: Krawaty, Spinki, Laski, Parasole i wyroby trykotowe francuzkie. Najlepszy krój koszul męskich.

Herman & Grossman

Warszawa,
Mazowiecka
Nr. 16.
Telefon 555.

Fortepiany, fabryk krajowych i zagranicznych
Pianina i Organy w wielkim wyborze

Petersburg
Moskwa.

SPRZEDAŻ NA ROZ-
PŁATY MIESIĘCZNE
PO 25 RUBLI.

WYNAJEM WYBOROWYCH
INSTRUMENTÓW.



ANGELUS—ORCHESTRAL
PIANINA
„CROWN”—„SYMPHONY”

Cenniki ilustrow. gratis.

Samofarbujące grzebienie

„FOR”



farbują włosy we wszelkie nie zmywające się kolory, a potem można je farbować i karbować. Grzebień zupełnie nieszkodliwy. Przesyłka za zaliczeniem.
Sztuka rb. 2 kop. 50.



J. FRANCUZ, Warszawa, Królewska 49.

Po rb. 10, 25, 30, 45 do
200 rub.

Polecamy:

Serwisy stołowe na 12 osób kolorowe i ręcznie malowane są gotowe na składzie fajansowe, granitowe i porcelanowe składające się od 71 do 122 kompletów.

Szkoło stołowe krajowe jako też i zagraniczne: Baccarat, Czeskie i t. p. duży wybór od 9 rubli do 175 r. na 12 osób.

Garnitury na umywalnie granitowe angielskie od 5 rubli; do herbaty i kawy malowane na 12 osób od 5 do 50 rubli.

Garnitury toaletowe w dużym wyborze.

Donice do kwiatów od 25 k. za sztukę. Talerze fajansowe stołowe mocne I s. od 1 rb. kolorowe po 1.25 k. za tuzin.

Naczynia higieniczne, kuchenne, kamienne.

Szklanki do herbaty od 50 kop. tuzin. Wazon, żardiniery, figury, biusty, patery, kandelabry, popielniczki. Galanterijne przedmioty w wielkim wyborze. Ceny przystępne.

Malarnia własna przyjmuje zamówienia na herby i monogramy na porcelanie i szkle.

ADRES: Mazowiecka 8.
F. PIERZCHALSKI

Rekomendowana przez Tow. Gospodyń Domowych, nagrodzona najwyższą nagrodą „Grand Prix” na Paryskiej wystawie powszechnej, opatentowana

MASZYNA GEROWANIA

Za pomocą maszyny nawet dziecko chętnie i z przyjemnością spełni bardzo szybko i ładnie wszystkie domowe reparacje cerownicze, jak to: naprawa pończoch, obrusów, bielizny, chustek i t. p. trochę lub bardziej uszkodzonych. Maszynka stanowczo wpływa na zachowanie wzroku, olbrzymią oszczędność czasu, trwałość, piękno i jednolitość roboty.

Praca tego rodzaju stanowi przyjemną rozrywkę i daje pewien dochód.

Wysyłam za zaliczeniem pocztowem. Cena wraz z ilustrowanym podręcznikiem i przesyłką pocztową tylko

3 b. 35 kop.
Adres dla listów i pieniędzy Reprezentant W. N. Fernebock, Warszawa, I-szy kantor pocztowy, skrzynka № 80.

Miejscowa sprzedaż
Graniczna ulica № 6 m. 27, od 3—5 po południu.

Pierwszorzędne Biuro Nauczycielskie
B. GOLCZEWSKIEJ, Marszałkowska 94.
Poleca: Nauczycieli, nauczycielki, bony polki, niemki, francuzki sprowadza z zagranicy, angielski.

Biuro Rekomendacyjne WASILEWSKIEGO

b. nauczyciela gimnazjum

Marszałkowska 123.

Polki, niemki, francuski, angielski.

BIURO NAUCZYCIELSKIE GRETILLAT

Ś-to Krzyzka 15.

Poleca: nauczycielki, bony cudzoziemki, gospodynie, panny służące.

Sklep TERESY WILKOŃSKIEJ

przeniesiony został z Chmielej 25 na Marszałkowską 92 i poleca oprócz guń, sukmanek, serdaków i t. p. od września nowo otworzony dział tanich ubrańek dziecińczych.

„CUDO”

najwyborniejsza zaprawa politurowa L. Müffkego, nadaje świetny połysk podłogom; froterka bez szcetek. Wyborny środek do odświeżania mebli, chodników z linoleum i cerat. Cena kop. 25 i 45 za pudełko. Żądać wszędzie! Wylączna sprzedaż u

B. LANDY w Warszawie, Leszno № 53.

Księgarnia J. Fiszera, Nowy-Świat 9 w Warszawie—zaleca dzieła pedagogiczne Reussnera do bardzo prędkiej i najłatwiejszej nauki Języków Obcych, bez nauczyciela z objaśnieniem wymowy i z kluczem pod tyt.:

Polsko-Niemiecki kurs wstępny (Elementarz) po k. 5, 12, 24 i 40; kurs I-y k. 80, kurs II-gi rb. 1.60.

Rusko-Niemiecki po kop. 5, 12, 24, 40 i 2.20.

Polsko-Francuski kurs I-y k. 1.20; kurs II-gi rb. 3.20.

Gramatyka Polsko-Francuska kop. 1.20.

Wypisy Francuskie kop. 80.

Polsko-Angielski kurs I-szy kop. 75; kurs II-gi kop. 1.20.

Amerykański Przewodnik kop. 50 i 5.

Polsko-Ruski Elementarz po kop. 5, 12, 24, 40;—kurs I-y kop. 1.40;—kurs II-gi kop. 1.80.

SAMOUCZEK: